

KRÓLOWA CECYLJA.

Iłża.

Na starym zamku biskupów krakowskich, wzniesionym niegdyś w Iłży przez świętobliwego Jana Grota, wrzało niezwykłe życie. Raz na raz zajeżdżały złociste kolasy, a z nich wysiadali dygnitarze koronni i zamożna szlachta, przybyła powitać księżniczkę mającą dzielić tron króla. Przed chwilą bowiem przejeżdżając do Warszawy, stanęła w iłżeckim zamku Cecylja Renata, córka i siostra niemieckich cesarzów, poślubiona w Wiedniu Władysławowi IV, za pośrednictwem królewicza Jana Kazimierza. W podróży do Polski towarzyszyła królowéj bratowa arcyksiężna Klaudja-Florentyna, żona Leopolda Tyrolskiego księcia, oraz wiele zacnych matron i dziewic. Zaledwie wysiadły w Iłży, gdzie spocząć miały po trudach nużącej drogi, księżna Klaudja po krótkiéj rozmowie z Opalińskim marszałkiem koronnym, przybyłym z Warszawy, poleciła pannom służebnym aby przygotowały wszystko co potrzebne było do wykwintnego stroju księżniczki.

— Na Boga miła siostro, pytała Cecylja, na co te wszystkie przybory? Wszak tu nie będziemy przyjmować nikogo.

— Kto wie, odparła z tajemniczym uśmiechem księżna, poddani wasi radzi na każdym kroku okazać przychylność swoją, dziś jeszcze może ktoś przybyć dla złożenia wam hołdu, a wtedy przyjąć go wypada.

— Ale czy nie można odłożyć do jutra? Wolałabym dziś samą pozostać i przygotować się raczéj na powitanie króla, z którym spotkania wiecie jak się obawiam.

— Dziecinne to obawy i wierzajcie mi że o nich rozmyślać nie warto, król polski jest wam już przychylnym, a cóż dopiero wtedy gdy się poznacie.

— O nie łudźcie mię daremnie, odparła smutnie księżniczka, albož nie wiem że

skłonił swe serce do pięknéj córki Fryderyka palatyna reńskiego, że miłość tę zaledwie po długiém wahaniu poświęcił woli narodu, który przyjąć nie chciał królowéj heretyczki.

— Ojciec Walerjan Magni *) zaręczał że ten afekt zdawna już przeminął, toż samo i pan Przerębski **) powtarzał.

— Niestety niezaspokoicie mię tém! zwyczajnie mówili obaj jak im wypadało, a ja wiem, że prócz miłości którą miał do córki palatyna, Władysław IV kochał jeszcze współrodaczkę, Annę Wiśniowiecką starościankę owrucką... wiem że jedynie intrygi pewnego stronnictwa uczyniły mię jego małżonką, jakże więc chcecie abym spokojnie w przyszłość pozierać mogła?

— Bo przyszłość ta niezadługo przedstawi się w jaśniejszych kolorach, zawierzcie mi tylko i bądźcie dobréj myśli, a tymczasem weźmy się do ubioru, bo zważałam od czasu jak rozmawiamy, że niejedna już kolasa zajechała w dziedziniec zamkowy

Cecylja nic na to nie odrzekła tylko usiadła zamyślona wspierając głowę na ręku, a panny służebne szybko się zakrzątały około jasnych warkoczy, które według tajemnego polecenia księżnéj, układać miały w sposób najwięcéj przypadający do twarzy młodéj królowéj. Skoro tylko mrok zapadł wspaniałe komnaty biskupiego zamku rozgorzały tysiącem świateł, a wielka środkowa sala napełniać się poczęła przyjezdnemi gośćmi Witał ich królewicz Jan Kazimierz w miarę jak przybywali. Skoro wszedł marszałek Opaliński, posunął żywo ku drzwiom, lecz pominąwszy go zwrócił się do męża który tuż za nim postępował, pomiędzy Gębickim podstolim koronnym a podkomorzym litewskim Radziwiłłem i wszczął coś do niego przemawiać z cicha. Mąż ów nierad był widać pokwapieniu się królewicza, bo nic nie odrzekł tylko położywszy palec na ustach, zwrócił się prędko w inną stronę i wkrótce znikł niepostrzeżony w najodleglejszym zakątku sali.

Królowa nieukazywała się jeszcze i wszyscy niecierpliwie oczekiwali jéj zjawienia.

*) Kapucyn naczelnik missji apostolskiéj do Polski który układał małżeństwo króla polskiego z siostrą cesarską.

**) Przerębski, kasztelan sieradzki, wysłany dla potwierdzenia umowy małżeńskiéj w Wiedniu.

Już Marja Eckerin ulubiona Cecylji wydana późniéj za księcia Michała Czartoryskiego, zapinała djamentowe zausznice ostatnią ozdobę stroju, już księżna Klaudja chwytała za klamkę u drzwi prowadzących w głąb zamku, gdy księżniczka zachwiała się i zbladła, opierając o krzesło. Skoczyły co prędzéj panny i rozcierać poczęły jéj skronie pachnącym octem który był tuż pod ręką.

— Co wam to pytała troskliwie arcyksiężna, czyżbyście naprawdę zaniemódz mieli?

— Nic, nic, to już przeminęło, odparła słabym głosem Cecylja. Jakieś niepojęte uczucie trwogi ścisnęło mi serce w chwili gdy wyjść mam do czekających na mnie, dotąd jeszcze nie witano nas chyba tak tłumnie...

— Alboż to piérwszy raz córze cesarzów stawać wśród zastępu panów? rzekła ruszając zlekka ramionami Klaudja.

— Wszak pomiędzy niemi niema króla, dodała panna Eckerin.

Na wspomnienie króla Cecylja znów silniéj pobladła i chwiać się poczęła.

— Nie wiem co strasznego w osobie króla widzi panna Eckerin, rzekła gniewnie, niechętna ulubienicy księżna, no moja drogo Cecyljo dodała łagodniéj, zwracając mowę do księżniczki, uspokój się i idźmy, już bo dłużéj niepodobna zwlekać.

Cecylja Renata nie zdumiewała urodą, lecz natomiast pełną była lubego niewieściego wdzięku; błękitne oczy, jasne włosy i przejrzystość białéj cery ożywionéj rumieńcem, czyniły ją powabniejszą od niejednéj piękności, dumnéj regularnością rysów. Szmer zadowolnienia rozszedł się po sali gdy weszła, wsparta na ramieniu księżnéj Klaudji. Marszałek Opaliński wystąpił na środek z mową witającą od króla, gdy zaś skończył prosił księżniczki o pozwolenie przedstawienia jéj obecnych panów. Wszyscy z kolei przesuwali się przed Cecylją z nizkim ukłonem, aż wreszcie stanął przed nią ów mąż, który przy wejściu usunął się na bok niechcąc być widzianym. Księżniczka zbladła i spuściła oczy skoro wlepił w nią wzrok badawczy, lecz gdy zamiast usunąć się jak drudzy, ujął obie jéj dłonie w gorącym uści-

sku spojrzała znowu, a spotkawszy wejrzenie promienne błogiem współczuciem, zrozumiała dopiero że stoi w obec swego króla i małżonka. Wzruszona tém powitaniem pochyliła się do kolan jego. Władysław IV podniósł ją co żywo, a ująwszy pod ramię, przy radosnych okrzykach zgromadzonych gości, poprowadził do komnat gdzie sutą przygotowano wieczerzę. Nazajutrz widzenie z mężem snem się wydało Cecylji, bo król zaraz po północy odjechał do Warszawy, gdzie ją miał uroczyście przyjmować. Uradowana przychylnością którą jéj okazał tak jawnie, uspokoiła się w swych obawach i łatwo wybaczyła bratowéj, że zataiła przed nią przybycie jego do Iłży.

Drugie widzenie narzeczonych odbyło się w Ujazdowie pod samą Warszawą. Towarzyszyła wtedy królowi młoda jego siostra Anna Katarzyna, która od razu zyskała przychylność Cecylji. Po ceremonjach posłuchania danego dygnitarzom i panom koronnym, wyruszono wprost ztamtąd do kościoła Śgo Jana, w otoczeniu świetnego orszaku. Arcybiskup połączył węzłem małżeńskim królewską parę, a uczty i widowiska z powodu uroczystości weselnéj, trwały dni kilka na zamku warszawskim.

Wilno.

Na rozległém błoniu połyskującém resztką śniegu topniejącego pod marcowém słońcém, rozbito purpurowe namioty. Uwijała się w nich żwawo dworska gawiedź zajęta przygotowaniem do łowów. Ryk niedźwiedzi i innego dzikiego zwierza zamkniętego w klatkach żelaznych, mieszał się z niecierpliwém ujadaniem psów myśliwskich, podtrzymywanych zaledwie przez strzelców. Gdy wszystko już było gotowe we właściwych miejscach, nadciągnął orszak królewski i najjaśniejszy Władysław IV, zasiadł wraz z Cecylją Renatą, na przygotowaném po za ogrodzeniem wyniesieniu. Sześć lat ubiegło zaledwie od ich zaślubin, a już niedostrzegłeś na twarzy królowéj rumieńca ożywiającego lica księżniczki. Cecylja była kochaną od męża, maleńki królewicz Zygmunt roztropnością i urodą pochlebiał jéj macierzyńskiéj dumie, a jednakże troski nieodstępne od życia ludzkiego, pozostawiły ślad swój na jéj obliczu. Zdrowie króla który rzadko kiedy wolny był od dotkliwych cierpień, napawało ją niesłychaną goryczą, zatruwając najpiękniejsze chwile życia. W kilka miesięcy zaledwie po ślubie już patrzeć musiała na srogie boleści męża. W dniu urodzin małego Zygmunta był tak chorym że dziecię przyniesiono mu do łóżka; nie mogąc sam przeciw niemu pośpieszyć wyciągnął tylko ręce, mówiąc radośnie: Witaj gościu nowy, gościu pożądany!— I teraz Władysław IV z trudnością postępował dla niemocy w nogach, aż czterech pokojowców wnieść go musiało na przygotowane miejsce. Skoro panowie i panie dworskie zasiedli gdzie im przynależało po za królestwem, dano znak rozpoczęcia myśliwskiéj zabawy. Król przyglądał się jéj z najżywszém zajęciem, zdrowszy od dni kilku, był więcéj niż kiedy ożywionym, rozmawiał łaskawie z panami, do kobiet nawet zwracał nieraz mowę i w roztargnieniu nie zauważył że Cecylia rumieniła się i bladła naprzemiany, jak gdyby sobie czyniła przymus aby wytrwać do końca. Dostrzegła tego stojąca za jéj krzesłem panna Eckerin i zapytała po cichu, czyby nie chciała odjechać skoro niezdrową się czuje?

— Nie zwracaj na to uwagi moja dobra Marjo, odparła żywo królowa, nie chciałabym mu psuć zabawy, dodała wskazując nieznacznie na króla, widzisz jak dziś wesół i swobodny, a niedawno jeszcze jęcząc przyciśniony bólem, mówił że oddałby chętnie swą koronę za chwilę spokoju i zdrowia.

— Ale król sam dopatrzy niezadługo zmiany waszego oblicza....

— No to wtedy oddalę się, a teraz dajmy pokój temu, patrz tymczasem jakie strzelcy nasi mają już przed sobą stosy zajęcy, sarn i lisów, a i grubszego zwierza zda się niebraknie. Lecz cóż to widzę? wszak i niedźwiedzi wypuszczają, a nie lubię tego widoku, bo biedne psy dużo wpierw wycierpieć muszą, za nim z niemi do końca dojdą. W istocie wyszło teraz dwóch olbrzymich niedźwiedzi i niebawnie psy rzuciły się na nie ujadając wściekle.

Jeden i drugi padł zaraz rozszarpany, lecz nowi zapaśnicy zastępowali miejsce poległych w szrankach, krew lała się strumieniem, a skomlenie pokaleczonych brytanów na wskróś przejmowało patrzących. Cecylja bladła i bladła, aż wreszcie przymknęła zaćmione oczy i pochyliła omdlałą głowę na piersi. Ujrzawszy ją nagle w tym stanie przerażony i zasmucony król, czémprędzéj porzucił łowy i pospieszać kazał do wileńskiego zamku. Otoczona pilném staraniem królowa niezadługo odzyskała zmysły; cieszyli się wszyscy, bo medycy przypisali omdlenie jedynie przerażeniu na widok walki psów i niedźwiedzi, król tylko nie rozjaśnił czoła i nie mógł oprzeć się jakiemuś smutnemu przeczuciu które mu ścisnęło serce. Do późnéj nocy siedział z pochyloną głową przy łożu Cecylji, a choć spotykał zawsze jednostajny, słodki uśmiech na jéj licu, nie mógł się łudzić nadzieją rychłego ozdrowienia. Dzień następny okazał że nie omyliły go przeczucia, bo królowa gorzéj się mieć poczęła. Sześć dni minęło pomiędzy obawą i nadzieją, a Władysław IV pogrążon w głębokiéj żałości nie chciał słuchać nawet tych co go pocieszać chcieli; siódmego dnia Cecylja zażądała ŚŚ. Sakramentów, była potém lepiéj, zdało się nawet chwilowo że złe oddalone zupełnie i król okazał twarz weselszą. Wielka była radość z tego powodu w całym dworze. We środę w wieczór w dniu polepszenia, siedział Władysław w pokoju żony, wpatrując się z tęsknotą w jéj blade znękane cierpieniem lica. Cała przeszłość niedawno miniona stała mu żywo przed oczyma. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie w Iłży, w którém Cecylja odrazu ujęła jego serce i zatarła w niém na zawsze ślady uczuć chowanych dla innych niewiast, daléj jeszcze przyszedł mu na pamięć dzień uroczystych zaślubin w Warszawie, późniéj narodziny radosne królewicza Zygmunta i zmarłéj królewnéj. Podróż do uzdrawiających wód w Teplitz, w któréj przejeżdżając z żoną przez Wiedeń, przyjmowany był wspaniale przez brata jéj cesarza. Wspomniał także na intrygi złych ludzi pragnących go poróżnić z królową, lecz z żalem odwrócił się od tego widoku, bo zaraz stanęła mu przed oczyma smutna przeprawa Cecylji przez Niemen i omdlenie jéj w polu, kędy nie było nawet potrzebnego ratunku (*). Pogrążony w podobnych dumaniach, uprzytomniał sobie niejako przeszłość w chwili gdy zawsze z obawą w sercu o zdrowie żony w przyszłość spoglądał. Nazajutrz rano w Wielki Czwartek udał się na Mszę do zamkowéj kaplicy, aby wraz z wiernemi uczestniczyć przepisanym przez kościół na ten czas obrzędom.

Królowa pozostała sama z panną Eckerin, od kilku godzin czuła się słabszą nic o tém nie mówiąc nikomu, aby nie trwożyć strapionego męża.

— Marjo, rzekła po chwili do swéj ulubienicy coraz gorzéj się czując, Marjo nie będę już taić dłużéj mego stanu.... Bóg mię do siebie woła, czuję że umieram.... Pamiętaj o synu moim i staraj się pocieszać króla....

Przerażona dziewica wybuchła głośnym płaczem na tę niespodziewaną mowę.

— Nie płacz moja miła, ciągnęła daléj Cecylja, śmierć nie jest straszną dla tych co wpierw już za łaską Bożą poznali znikomość uciech tego życia. Wierzaj mi Marjo że gdyby nie myśl osierocenia w jakiém pozostawiam me dziecię i ukochanego małżonka, z radością bym opuszczała ziemię aby przenieść się w świat lepszy....

Marja coraz głośniéj płakała a królowa przemawiała w téj treści długo jeszcze, lecz coraz wolniéj i ciszéj....

Ofiara Mszy Śtéj bliską była końca, gdy jeden z dworzan stanął z niskim ukłonem przed królem, wzywając go do królowéj. Władysław wiedząc że była w lepszém zdrowiu, nie chciał wyjść dopókiby nabożeństwa nie skończył. Niebawnie też kapłan wymówił słowa błogosławieństwa nad pochyloną głową króla, powstał wtedy szybko i poszedł do komnat Cecylji, jęki i łkania obecnych tam niewiast doszły go w progu, spojrzał w głąb oniemiały z bólu i cofnął się z okrzykiem roz-

*) Król poduszczony na żonę przez Kazanowskiego któremu mimo jego życzenia nie chciała dać żądanego miejsca na swym dworze, wyprawił się osobno do Litwy, królowa jadąc za nim w oddzielnym powozie cierpiąca i strapiona omdlała. Wzruszony tym wypadkiem Władysław pojednał się z nią wkrótce.

paczy, bo wzrok jego padł na martwą już twarz żony.

Do nazajutrz rana zamknięty w swéj komnacie nie chciał widzieć nikogo z panów i dworskich dla wielkiéj żałości.

W Wielki piątek mnogie tłumy ludu odwiedzające po kościołach groby Chrystusa, cisnęły się na zamek, aby ujrzeć raz jeszcze swą królowę. Cecylja blada jak okrywające ją białe jedwabne szaty, niby snem zmorzona, leżała na wspaniałém wyniesieniu wśród mnóstwa jarzących świateł. Gdy już miano zakrywać wieko trumny panna Eckerin z rozkazu króla złożyła na sercu zmarłéj wiązankę jego włosów.

We cztery tygodnie potém strapiony Władysław, odprowadzał sam trumnę żony do Warszawy, skąd późniéj przewieziona została do Krakowa, dla złożenia w grobach królewskich na Wawelu. Królewicz Zygmunt wysłany tam wpierw, wyniesiony był naprzeciw zwłok matki na ręku jednego z senatorów, a król postępując za trumną, na widok sieroty po niewieście którą tyle kochał, zachodził się od rzewnego płaczu (*).



Przymknęła zaćmione oczy i pochyliła omdlałą głowę na piersi.

A. z Ch. Borkowska.

*) Wszystkie szczegóły tego opowiadania, zamieszczone są w pamiętnikach i opisach spółczesnych.

KARTKA Z HISTORJI OBYCZAJÓW XVIII WIEKU.

Dajemy tu oryginalny list, wyjęty z szacownego zbioru rękopismów, a pisany do jednego z infułatów Strzelna. Miasteczko to wchodziło w skład dawnéj ziemi kujawskiéj, stanowiącéj przez jakiś czas osobne księztwo, to jest jednę z dzielnic książąt Mazowieckich. W Strzelnie możni proboszczowie zamieszkujący obszerny gmach po dawnych opatach Norbertanów (przeniesionych do Wrocławia) byli od początku XVIII wieku infułatami. List poniżéj umieszczony jest właśnie z czasów w których szlachta toczyła z duchowieństwem wojnę o dziesięciny, trudno więc odgadnąć czy piszący jest tak łatwowierny czy tylko zręczny. Mimo to wszystko jednak, świeccy mając na czele marszałka Bielińskiego, wzięli górę, sądom ziemskim przyznano władzę wyrokowania w sprawie o dziesięciny, jak również i w wielu innych, które dawniéj konsystorze rozstrzygały; tym sposobem dokonało się znaczące przeobrażenie prawne w dawnéj Rzeczypospolitéj.

Kopja listu pisanego z Gosławic do jw. jmci k. infułata i proboszcza Strzelińskiego dnia 16 Februari Anno 1765.

„Odebrawszy z wielkiém uszanowaniem list JW. i Dobr. do mnie sługi swego przysłany, przy upadnieniu do nóżek pańskich z jak najniższą submissją *sub Juramento rei veritatis*[1]), co się u nas w Gosławicach działo względem tych postrachów, o których głoszą w Kujawach, tym reskryptem moim donoszę. Dopiero siedm lat minęło *in Vigilia S. Catharinae V. M.* jako *institutus sum ad Ecclesiam Goslavice,*[2]) a już od kilkunastu lat przedemną ludzie w Gosławicach mieszkający na różnych miejscach, różne słyszeli stukania, pukania, jako i teraz słyszeć to wszystko i widzieć się daje, tak w zamku na górnych, średnich i dolnych pomieszkaniach, oficynach, browarze, w oborach i u mnie w plebanji różnemi czasy różnie przeszkadzało, najbardziéj wtenczas, kiedy mnie w domu nie było, jako dziad w plebanji mieszkający powiada. Co się zaś tycze mojéj osoby widzenia lub słyszenia wiernie jw. p. donoszę w ten niżéj opisany sposób. Pierwszéj mojéj bytności w Gosławicach byłem zaproszony z kazaniem na święto Ś. Doroty L. M. do Lichina dóbr jw. podkomorzego Dob. kollatora mojego od jmci k. Chrząstowskiego tamtejszego plebana, gdzie jadąc przez Brody na zwane Perzyska ku Lichiniowi, o kilka staj przed wsią zaszedł mi drogę wspaniałego wzrostu nieznajomy, ani przedtém odemnie widziany, w czapce staroświeckiéj rogatce niby soboléj, w pieprzykowatym kubraku, albo jupce krótkiéj ledwo za kolana, w żupanie fijoletowym do samych kostek długim, mając na sobie ładownicę łosią; rozumiałem że to podróżny drogą publiczną sobie idzie, ten człowiek lub mniemany podróżny z Lichinia ku Perzyskom zaszedłszy mi drogę, widziałem że bardzo spocony znurzany, rozumiałem że podróżą sfatygowany, który stanąwszy przed koniem moim, na którym siedziałem, te łacińskim językiem do mnie mówił słowa: *Quo pergis*[3]), na co mu odpowiedziałem: *Lichiniam cum Cantione quoniam hodie Solemnitas S. Dorothae Patronae Ecclesiae hujus,*[4]) na co mi odpowiedział mniemany podróżny: *Habebit nequid vobis dare ad manducandum post finitam Devotionem*[5]), odpowiedziałem ja mu na to: *Invitavit hospites ad devotionem, si post finitam devotionem invitabit illas ad mensam tunc forte debuit curare ut reficiantur*[6]), na co odpowiedział mniemany podróżny: *Non habet veram suficientiam, sed ipse sibi causa*[7]) i wnet spytał mnie się temi słowy: *Unde tu es?*[8]), odpowiedziałem mu: *Ego*

[1]) Pod przysięgą, jako prawda.
[2]) Siedm lat minęło na wigilję Ś. Katarzyny jako objąłem probostwo w Gosławicach.

[3] Gdzie jedziesz?
[4]) Do Lichinia, gdzie będę mieć kazanie na uroczystość Świętéj Doroty, patronki Liechińskiego kościoła.
[5]) Aby tylko mógł wam dać posiłek po ukończoném nabożeństwie.
[6]) Jeżeli wezwanych gości na uroczystość po ukończonym nabożeństwie zaprosi do swego stołu, należy się spodziewać że uczci ich dostatecznie.
[7]) Nie ma wprawdzie dostatku ale jego w tém wina.
[8]) Zkąd jesteś?

sum Goslavicae Parochus Goslavica [9]) daléj mnie spytał: *Quot foves Presbiteros?* [10]), odpowiedziałem mu na to: *Nullum quia vix ego me ipsum sustentare possum* [11]). Na co mi odpowiedział westchnąwszy serdecznie: *O summa nostri miseria. Credo facile quod nullum foves Presbiterum, inscriptiones Privilegia Mansionariorum surripuerunt et nos hucusque faciem DEI non videmus* [12], dotąd rozumiałem żem z podróżnym rozmawiał, ale skoro ten dyskurs ze mną skończył, we mgnieniu oka twarz mniemanego podróżnego, w straszną przemieniła się larwę, na kształt trupią głowę, którém widzeniem takem się zląkł, że zdawało mi się, jakoby mi już umierać przychodziło, ta larwa trwała przez kilka minut, potém znowu pierwsza twarz się pokazała w owym mniemanym podróżnym, te do mnie mówiąc słowa:

Video expavisti fortiter ideo non valebis sacrificare hodie, sed pete alias Presbyteros ut sint memores mei sub tempus S. Missae [13]), potém zginęło to z oczów moich, a ja przyjechawszy do Ichm: księży w Lichińskiém kościele będącym opowiedziawszy im tę historję, prosiłem aby pamiętali pod czas Mszy Świętéj na tego mniemanego podróżnego. Opowiedziałem to widzenie jw. podkorzemu dobr. kollatorowi mojemu, który może suponował, że jestem dla jakiego zysku *pro domo Orator*, w żart to sobie obrócono, a ja żebym uszedł jakiéj cenzury do tego czasu w głębokiém to chowałem milczeniu. Co się zaś tycze przestrachów, które nie tylko ja, ale i inni służący jw. podkomorzego widzieli i słyszeli w roku przeszłym 1764 dnia 10go Listopada, suponuję że w liście swoim jw. podkomorzy dokładną czynił relację. Ja zaś jak widziałem i słyszałem bez zawodu bo sumienną czynię relacją tym niżéj opisanym sposobem. Przez całe dwa lata różne stukania, pukania w plebanji mojéj słyszeć się dały, nadto że ludzie idący mimo plebanji tak nowéj, w któréj ja mieszkam jako i staréj która pustkami stoi, podczas mojéj niebytności w zamkniętéj mojéj izbie podczas wieczora widzieli światłość, któréj i ja w zamku będąc z innemi z podziwieniem przypatrywaliśmy się, wiedząc dobrze żem iskierki ognia nie zostawił. Dziad zaś mieszkający w plebanji w izbie swéj, szczęki, brzęki słyszał łańcuchów i innego łoskotu, a to po kilka razy. Ja zaś sam w niektórych rzeczach podobne według listu jw. podkomorzego miałem widzenia, a to po kilka razy, tak dalece, żem rozumiał, iż to było nasłanie szatańskie, a najprzód te straszydła, takim widzieć się dały sposobem: Drzwi się same pewnéj nocy otworzyły do izdebki mojéj, w tém wchodzi w larwie strasznéj czarna osoba, prowadząca za sobą zwierza nakształt niedźwiedzia, pysk świński mającego, z którego oczów, uszów, nozdrza i paszczęki gęsto skry sypały się, za tym smokiem wszedł jeden wspaniałego wzrostu człowiek bardzo zbiedzony, za nim wielka liczba ludzi, między któremi na samym ostatku szedł drugi w larwie piekielnéj, który przedarł się przez wszystkich w izbie będących, stanął przy tym smoku, ogromnym zawołał głosem na tę wspaniałą osobę: „Wsiadaj!“ (Smok ten miał na sobie nakształt kulbaki lub siodła siedzenie, gęsto ognistemi na ćwierć długiemi osadzone kolcami, z których kolców ogniste wynikały prómyki; było to jak na kształt gdyby kto jeżową skórą przykrył siedzenie) wzbraniał się ów zbiedzony człowiek, ci go dwa w larwie piekielnéj będący porwali i na to straszliwe siedzenie wsadzili, te do niego mówiąc słowa: już też ztąd niezsiądziesz aż na wieki, a ten siedzący na smoku nie tak zastękał jak zaryknął długim na kilka minut przeciągiem, wnet jeden z tych w larwie będących zawołał na smoka: „postępuj!“ natychmiast ruszył się z miejsca z siedzącym smok, zdało mi się że to jakoby świeżo koń kuty po podłodze chodząc podkowami lgnącemi w podłogę, podłogę za sobą wyrywał, inni zaś w téj kompanji będący, co prócz w bieli osoby, w koło otoczyli smoka ręce wyciągając ku smokowi i siedzącemu na

[9]) Jestem proboszczem z Gosławic.
[10]) Jak wielu masz wikarjuszów?
[11] Żadnego, ponieważ sam ledwie mogę się utrzymać.
[12]) O nieszczęśliwa nasza dola; wierzę że nie masz żadnego wikarjusza, przywileje bowiem Mansjonarjuszów wydarte są przez nich, a my za to nieoglądamy oblicza pańskiego.
[13]) Widzę, przeraziłeś się tak mocno że nie będziesz mógł dziś wyjść ze Mszą, ale proś innych księży ażeby pamiętali o mnie przy ofierze Mszy Śtéj.

smoku, z którego to smoka, skry gęste sypały się na około smoka idących, siedzący zaś na smoku serdecznie wzdychał do Boga wołając: O! Boże! pokiż na téj bestji siedzieć będę? O! Jezu zmiłuj się nademną! z takiém zaś ryczeniem i stękaniem innych w towarzystwie siedzącego będących, przy szczękaniu i brząkaniu jakoby łańcuszków od więzów wyprowadzili się z izdebki ta straszna scena na górę, na której stukanie, pukanie, jęczenie, ryczenie onych strapionych mizeraków miłosiernie słyszeć się dało; bawiła się ta straszna trajedja w nocy od w pół jedynastéj aż do godziny czwartéj po północy, w izbie zaś gdy się scena zaczęła, taka się jasność uczyniła, jakoby kto żywy ogień zapalił i on czystym obrusem, albo inną przezroczystą chustą zasłonił. Bywało to i innych czasów że go już siedzącego na smoku prowadzono do izdebki, a ja takem się zląkł tych przestrachów, żem i chorować musiał. Uskarżałem się jednego czasu wkrótce przed tém, nim się w oficynach służącym pańskim te przestrachy pokazały, podczas bytności pańskiéj w Warszawie na sejmie *Coronationis*, przed jw. jejmość dobr. kollatorką moją, że dla przestrachów, które się nieznośnie pokazują w plebanji przyjdzie mi beneficium zaniechać. Na co mi jw. pani odpowiedziała: życzyłabym sobie, ażeby to co tam pokutuje u ww. pana jaki dla lepszéj wiary znak dało, którymbym mogła męża mego nakłonić do uczynienia dobrze za dusze w mękach czyscowych zostające, tegom jednak wszystkiego com widział przed tém prócz spowiednikowi nikomu niepowiedział, uchodząc ludzkiéj cenzury. Trafiło się że ta zwyczajna w plebanji poczęła się odprawować scena. Ja wezwawszy Imienia Boga Wszechmocnego w Trójcy Przenajświętszéj, obligowałem aby mi oznajmiło, czego przeszkadza, czego pokutuje, kto jest i za co w strapionym zostaje stanie? Odpowiedział mi na smoku siedzący mówiąc te słowa: już *lat 160* téj pożądanéj oczekiwałem godziny, aby się kto mnie spytawszy o mojém pomyślił wybawieniu, jak teraz tak za teraźniejszego posesora dóbr tutejszych, pokazałem się na moście przed kilkunastą laty w dzień środowy, podczas niebytności pańskiéj w tych samych mękach, dziwowali się, tylko, a o mojém niemyśleli wybawieniu i rozumieli że pan z drogi w nocy powraca i czem prędzéj na przybycie pańskie apparencją czynili; a pierwéj jeszcze za dopuszczeniem Boskiém przed kilkadziesiąt laty z tym feralnym djalogiem pokazałem się w kuchni w samym zamku, widziało mię kilka osób służących natenczas jw. podkomorzyny inowrocławskiéj, a niebyło takiego któryby się o co spytał. Ja jestem (powiedział mi na smoku siedzący K o n s t a n t y n L u b r a ń s k i, wielu dóbr dziedzic i majętności tutejszéj; żyłem w absolutnościach swoich swawolnie ze zgorszeniem wielom, którą bezbożność postrzegłszy duchowni tak prywatnie zrazu, jako i publicznie naprawiać chcieli życie moje, a osobliwie tedy Mansjonarze tutejsi od antenatów moich dla promowania chwały Pana Boga fundowani, za co miałem ich w nienawiści, z téj przyczyny starałem się o ich pozbycie. Kollegjum murowane dla pomieszkania ich zrujnowałem, przywileje ich i zapisy zabrałem z ksiąg grodowych, aby inskrypcje dla nich wydarte były starałem się. Ogrody i inne dochody na swój pożytek obracałem i póty na tym smoku jeździć będę, przy assystencji tych których widzisz, póki sukcesorowie nie zmiłują się nademną i nad nami i zrujnowane nie wystawią kollegjum i o ewindykowaniu przywilejów niepomyślą i nieoddadzą to com utracił Mansjonarzom. Ci których widzisz ze mną, jedni byli konsyljarzami do zbrodni, tak teraz są mi po uczynieniu za socjuszów w mękach. Na innych zaś skazując różne im dawał imiona i przezwiska, które z wielkiego strachu zapomniałem, nazywając ich dóbr swoich i dostatków sukcesorami, którzy za to jemu asyštują, powiedział że wiedzieli dobrze gdzie i na jakich dobrach ich, jakie były dla Mansjonarzów zapisane fundacje, a o powróceniu im tego wszystkiego zaniedbali i owszem się z tego cieszyli, że nie masz śladów, zapisów Mansjonarzom tym. Zakończył tę żałosną historję, obligując mnie na miłość Boską, abym com widział opowiedział jego sukcesorom; jam milczał bo zdawało mi się że to rzecz niepodobna, aby tak mocno zrujnowany fundusz miał kiedy powstać, długo miałem

tę animadwersję żeby to mojemu nieprzypisano łakomstwu, obligowałem wtenczas tę strapioną kompanję, aby się więcéj osobom pokazała, z przyczyny ażebym zadosyć uczynił obligacji jw. podkomorzyny kollatorki mojéj. Sądziłem to u siebie, że większa wiara będzie ludziom niżeli niezwyczajnemu jakiemu znamieniu, któremu by snadno płochość ludzka fałsz zadawać mogła, bo co oko widziało, na to sumienie ludzkie wraz ze mną przysiądz może. Stało się jakem sobie życzył, że zaraz następującéj nocy takim kształtem i modeluszem, jak wyżéj jest opisano, kilku osobom w oficynach się pokazało to widowisko, którzy co widzieli głośno publikowali i ja téż na ostatku com kiedy widział, słyszał jw. dobr. opowiedziałem, co doniosłszy przy ucałowaniu nożek j. w. p. i dobr. wnoszę moją suplikę do łaski jego, abym mógł być przed światem ukryty i ekskuzowany z tego wszystkiego czegom był spektatorem, a ja *ad vitae meae tempora* [14]) zapisuję się być niegodnym *ex oratorem* [15]) przed Majestatem Boskim jw. p. dobr. jako i teraz z tém się protestuję, żem jest *perenni cultu et veneratione* [16]).

Dat w Gosławicach w rezydencji plebańskiéj r. 1765 d. 16 Februari.

RYCERZ Z LEWIHRADU.

LEGENDA Z DAWNYCH DZIEJÓW CZESKICH.

Wojna religijna zalała czeską ziemię krwawym potokiem, bracia powstali przeciw braciom, niepomnąc że miłość jest najpierwszą prawd Bożych podstawą. Ciche brzegi Wetławy zabrzmiały gwarem wojennego ludu, a krzyki i przekleństwa walczących odbiły się żałosném echem wśród pobliskich gór, kędy stary zamek Lewihrad zasiadł z groźną powagą w posępnéj koronie ciemnych jodłowych lasów. Odwieczna ta budowa zamieszkałą była przez ostatniego potomka przemożnéj rodziny. Niepojął on żony aby łacniéj spełnić ślub poświęcenia się usługom wdów sierot i wszystkich pokrzywdzonych a niemających opieki. Mówiono że nieszczęśliwa miłość w pierwszych latach młodości, była mu powodem do wyrzeczenia się ponęt i roskoszy świata; cokolwiekbądź wpłynęło na ten żywot pełen trudu i zasługi, otoczyła go najwyższa cześć współziomków zamieszkałych w okolicy. Na odgłos krwawéj wojny zgromadzili się wszyscy w zamku, pytając kasztelana co im czynić wskaże? Rycerz zadumał się głęboko, a potém prosił aby dali mu wpierw czas przyjrzenia się bliżéj całéj sprawie. Uwiadomiono go właśnie że niedaleko hussyci zebrali się gromadnie w lesie, wyruszył więc zaraz w tę stronę, obiecując gościom swym rychły powrot. Koń rycerza świadomy leśnéj drożyny poniósł go w zarośle, kędy zgromadzeni sektarze przysłuchiwali się pilnie kazaniu duchownego przewodnika. Nie będąc od nich widzianym, rycerz zatrzymał się pod olbrzymich rozmiarów dębem, aby usłyszeć także tłomaczenie słowa Bożego. Niezadługo smutnie odwrócił głowę, bo poznał że dzika namiętność posługiwała się tam chrześcijańską nauką, aby obłąkać proste, niewykształcone umysły. Treścią kazania było poduszczanie do napadu na leżące w pobliżu opactwo mnichów oddanych służbie Bożéj. Zanim jeszcze uzbrojona tłuszcza zabierać się poczęła do spełnienia dzieła zniszczenia, kasztelan z Lewihradu zawrócił konia i pośpieszył z przestrogą do przyjaciół swych zakonnych. Cisza nocna okalała starożytny klasztor kąpiący się w srebrnym księżyca blasku, gdy do furty zapukał.

14) Do mojéj śmierci.
15) Zanoszącym modły.
16) Z najgłębszym szacunkiem i poważaniem.

— Cóż cię sprowadza w tak późnéj godzinie miły synu, pytał go przełożony starzec siwobrody czuwający na modlitwie. Tu rycerz opowiedział co słyszał i wystawił

— Niema rady przeciw temu co nam zwiastowaliście, jeżeli Bóg dopuścić zamierza śmierć naszą i pohańbienie domu swego.



Nie będąc od nich widzianym, rycerz zatrzymał się pod olbrzymich rozmiarów dębem, aby usłyszeć także tłomacznie słowa Bożego.

grożące niebezpieczeństwo. Zadumał się mnich świętobliwy i nic nie odrzekł zakrywszy rękami oblicze.

— I cóż czynić zamierzacie, pytał znów po chwili rycerz.

— Lecz mam u siebie mnogo zbrojnego ludu a niczém mi życie poświęcić w obronie waszéj....

— Podnosić oręż na zbłąkanych braci o! nie nigdy, ofiaruj raczéj Panu za ich od-

kupienie boleść napełniającą twe serce gdy widzisz że sromotnego dopuszczają się czynu. Zbrojny majestatem i powagą kościoła którego byłeś zawsze wiernym synem, zakazuję ci mścić się krzywdy naszéj! Bogu ją poruczam! on sam tylko sądzić może myśl ludzką, bo sam jeden rozumie jéj obłąkania przyczyny.

Wymówiwszy te słowa mnich sędziwy skreślił w powietrzu znak krzyża po nad czołem zdumionego rycerza i znikł w cieniu korytarzy klasztornych. Wydał widać rozkazy na przyjęcie sektarzy, bo za chwilę cały kościół rozgorzał świateł tysiącem, a zgromadzeni przed ołtarzem zakonnicy zanucili pieśń pobożną. Wtorował jéj z chó-



Tam prowadzono kilkunastu pozostałych jeńcó w skrępowanych jednym sznurem.

ru rycerz, aż dopóki nieweszła w poświęcone mury rozhukana tłuszcza, padł wtedy krzyżem na ziemię w swym zakątku modląc się cicho i niewidział jak mnich sędziwy zaległ nurzając się we krwi stopnie ołtarza który zasłaniał własnemi piersiami, jak drudzy zakonnicy tuż za nim mostem trupów się usłali... słyszał tylko kiedy niekiedy jęk głuchy i uderzenia toporów obalających posągi świętych i filary ołtarzy.

Wyszedłszy nad ranem ze swego ukrycia, niemiał odwagi spojrzeć na wnętrze opuszczonego już przez łupiezców klasztoru, dopadł tylko spiesznie konia ukrytego w gęstwinie i popędził do domu. W pół drogi zwrócił się w bok posłyszawszy krzyki walczących, napotkane pacholę opowiedziało mu że to wojsko cesarza Zygmunta potyka się z zastępem hussytów; zapomniał w téj chwili przestróg sędziwego mnicha rycerz, bo krew wszystka wrzącym strumieniem do serca mu zbieżała, na myśl że pomścić może zniewagę domu Bożego i śmierć sług ołtarzy. Przez nieprzebyte manowce biegł coraz chyżéj, lecz w miarę jak się posuwał daléj, cichły wojenne odgłosy, a w chwili gdy dotarł do placu boju, znalazł tam już tylko stada wron i kruków pastwiących się nad zdobyczą. Po liczbie trupów poznał porażkę sektarzy, udał się w stronę gdzie mu wskazano pochód zwycięzców uprowadzających jeńców, aby być świadkiem ich losu. W prostocie swéj myślał że wyznawcy prawdziwego kościoła, w duchu miłości i miłosierdzia postępować będą, lecz jakże się zawiódł srodze! Gdy nad wieczorem struchlały i zbolały wypadkami nocy spędzonéj w opactwie, przybył do górniczego miasta Kutne Hory, już głowy jeńców padały pod mieczem katowskim. Przejęty zgrozą na ten widok przepchnął się przez tłum niewiast, starców i dzieci zgromadzonych na rynku, a wyszedłszy na wyniesienie jął grozić ludowi gniewem Bożym, za srogą zemstę nad bezbronnemi, za przelew krwi bratniéj. Na te słowa pełne zapału, odpowiedziano mu tylko wściekłości okrzykiem: kacerz! kacerz! pod miecz głowa kacerza! a tłum ślepy i bezmyślny poniósł go natychmiast na miejsce kary, lecz dziwném zrządzeniem Bożém przybycie człowieka którego niedawno rycerz z Lewihradu wyzwolił z ciężkiéj niedoli, uratowała mu życie w téj chwili.

— To kasztelan zamku który stoi zawsze otworem dla ubogich, to pan na Lewihradzie obrońca uciśnionych, wołał przedzierając się przez tłumy nowo przybyły, stójcie na miłość Boga!

Imie rycerza znaném było pomiędzy ubogą ludnością okolicy, prośba zaniesiona za nim nie mogła pozostać bez skutku, lecz chciwy srogiego widowiska lud, potrzebował wynagrodzenia za swoje ustępstwo. Niech będzie wolny, zawołano, lecz natomiast pobawmy się jeszcze z kacerzami oszczędzając wszakże ich krwi, do szybu! do szybu!

W oddali nieco od głównego placu stał wspaniały kościół Śgo Marcina, a tuż opodal stary szyb górniczy z którego przestano już wydobywać srebro otwierał swą czarną otchłań, tam poprowadzono kilkunastu pozostałych jeńców skrępowanych jednym sznurem, a gdy pierwszego wepchnięto w przepaść, pociągnął za sobą innych nieszczęśliwych.

Na drugi dzień w wieczór dopiero po swéj wyprawie, kasztelan Lewihradzki powrócił do zamku gdzie nań czekali przyjaciele. Uważano z podziwem że przez tak krótki przeciąg czasu włosy jego lekką dopiero przypruszone siwizną jak śnieg zbielały. Rozpatrzywszy się dokładnie w całéj sprawie która mu się przedstawiła w tak wymownych obrazach, zaklął wiernych towarzyszy aby powrócili do domów swoich i starali się w miejscu walki bezbożnéj roznosić wszędzie miłość i pokój pański, sam zaś przywdział suknię pielgrzymią i zdawszy zamek na wiernego burgrabię, poszedł opowiadać jedność i miłość bratnią po rozdzielonych obozach, głos bowiem jakiś tajemniczy mówił mu w głębi duszy, że w ten sposób najlepiéj usłuży ojczyźnie. Chodził tak czas jakiś od zamków możnych panów, do chat wieśniaczych, zaklinając wszędzie o pokój i zgodę, aż pewną razą znaleziono go klęczącego wśród zwalisk zburzonego opactwa; z początku myślano że zasnął tylko lecz skoro przekonano się że dusza uleciała w wieczności krainę, sprowadzono ciało do zamku i wspaniały mu

wyprawiono pogrzeb. Cała ludność okoliczna zbiegła się z rzewném uczuciem aby odprowadzić do grobu rycerza z Lewihradu. Zamienił on miecz naddziadów na kosztur pielgrzyma przez miłość bratnią dla współziomków, to też pamięć jego przechowała się u nich w długie wieki.

* * *

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWÉJ AFRYCE.

(Dalszy ciąg.)

Przybywszy do wsi wkrótce przekonałem się niestety że ich wcale nieobmówiono. Na samym wstępie dostrzegłem ślady krwi która zdała mi się być krwią ludzką, lecz to jeszcze niebyło dostateczne, niezadługo spotkałem kobietę niosącą spokojnie udo ludzkie, tak jak która z naszych kucharek niesie ćwiartkę baraniny lub cielęciny. Uważałem że we wsi panował pewien rodzaj zamieszania, dowiedziałem się późniéj, że właśnie wtedy rozdzielano na części ciało ludzkie; głowę jak zazwyczaj zachowano dla króla; zowie się ona nawet w języku tych dzikich *kąskiem królewskim*. Uważałem po drodze rozrzucone tu i owdzie kości ludzkie, wszędzie kobiety i dzieci uciekały na mój widok, doprowadzono mię wreście do króla. Był to murzyn strasznego wejrzenia, cały nagi i pokryty czerwonemi deseniami. Na szyi przewieszone miał różne talizmany przeciw czarom. Tak jak wszyscy Fansowie którzy go otaczali był w pełném uzbrojeniu, składającém się z tarczy, łuku ze strzałami, toporka i noża. Nazywał się *Ndiayai* a na znak dostojeństwa włosy jego zaplecione były w warkocz grubszy niż u innych, zakończony białemi paciorkami i obrączką miedzianą. Takież obrączki miał na nogach, z przodu spadała mu od pasa aż do kolan piękna skóra lamparcia, broda zapleciona była również w sterczące warkocze zdobne białemi paciorkami, zęby spiłowane spiczasto i zaczernione, zaciemniały wnętrze ust starego ludożercy i czyniły je podobném do otwartego grobu. Stara królowa Maschumba towarzysząca małżonkowi, była najszkaradniejszą istotą jaką widziałem kiedykolwiek. Za cały ubiór nosiła przepaskę z kory na cztery cale szeroką, ciało jéj pomalowane było w dziwaczne desenie, żelazne obręcze otaczały nogi, miedziane zaś zawieszone miała w uszach tak szeroko rozdartych, że pomiędzy kolczyk a ciało zmieściłby się niezawodnie mały palec. Król był lekko pomieszany moim widokiem, przepowiedziano mu bowiem że umrze we trzy dni potém i tylko Mbema zdołał mu wyperswadować że ta przepowiednia się niesprawdzi. Mbema był u szczytu radości, przechadzał się poważnie po wsi, otoczony czcią najwyższą za swój stosunek ze mną, opowiedział bowiem krajowcom że byłem duchem, który przybył z po za wielkich wód o kilka tysięcy mil odległych, aby poznać pokolenie Fansów. Po kilku grzecznych komplementach zamienionych wzajemnie, król rozkazał swéj staréj żonie, aby przygotowała dla mnie apartament do którego mię odprowadzono niebawnie. Cała wieś zbudowana niedawno, składała się z jednéj szerokiéj ulicy. Domy bardzo maleńkie miały po jednéj tylko izbie bez okien, w któréj sypiano, gotowano i chowano zapasy spiżarniane, składające się z zwierzyny i wędzonego ciała ludzkiego. Wsie Fans'ów bywają zawsze otoczone pewnym rodzajem mocnéj palisady, po za którą ludzie pilnie czuwają w nocy, aby się nie dać podejść nieprzyjacielowi. Dopomagają im w téj straży psy krajowe, których głośne i przeraźliwe szczekanie ostrzega z daleka o przybyciu obcego. Przechadzając się po wsi, dostrzegłem przed każdym prawie domem stosy kości ludzkich. Nad wieczorem zaprosiłem króla do siebie i obdarowałem go pilnikiem, lusterkiem i pękiem białych paciorek; przysłał mi zaraz potém kosz bananów przez jednę ze swych żon. Niektóre z tych owoców były gotowane, odrzuciłem je ze wstrętem, wspomniawszy na to, co znajdować się mogło wpierw

w naczyniach kuchennych, w których je przyrządzano. Po zachodzie słońca wszystko się uciszyło we wsi; zabierając się do spoczynku zabarykadowałem drzwi chaty, pomimo bowiem uprzejmego przyjęcia mieszkańców, przychodziło mi na myśl że może skutkiem jakiegoś kaprysu gastronomicznego, przyjdzie im ochota mieć mię na obiad. Położywszy się na szkaradném łóżku z twardych i nierównych desek, niemogłem zasnąć długo. Za obudzeniem ujrzałem znów pod oknem czaszki i piszczele ludzkie; niestety! dowody ludożerstwa były aż nadto dotykalne wszędzie do koła. Prosiłem króla aby mi się przedstawił w swoim najwspanialszym ubiorze wojennym; przyszedł skutkiem tego żądania kompletnie uzbrojony, wraz z żoną i kilku znaczniejszemi dworzanami. Miał w jednéj ręce łuk, w drugiéj tarczę, nóż za pasem a na plecach worek pełen strzał zatrutych. Królowa Mashumba także się przystroiła świątecznie, włożyła bowiem na głowę siatkę z białych perełek, która budziła podziw i zachwycenie całego dworu. Białe perełki są w ogóle bardzo poszukiwanym przedmiotem handlu z murzynami. Oprócz nożów długich zawieszonych u pasa które służą do przebicia na wskróś nieprzyjaciela, Fans'owie noszą jeszcze rodzaj toporków, które podobnie jak indjanie swoje *tomahawk'i* umieją zręcznie bardzo rzucać na nieprzyjaciela. Nad wieczorem dano bal z okazji przybycia *ducha* którym ja być miałem, musiałem zatém rad nie rad przyjąć zaprosiny. Zbiegli się przy téj uroczystości mieszkańcy z okolicznych wiosek, jeden z nich, wielki król Okolo, podarował mi nóż z zapewnieniem że raz już zabił nim człowieka, co naturalnie podwyższało wartość téj broni. Orkiestra balowa składała się z bębnów (tam-tam) zrobionych ze skór dzikich zwierząt; towarzyszyły im śpiewy jeszcze mniéj harmonijne od saméj muzyki. Tańce były nader dzikie i nieprzystojne. Po balu ułożono dla mojéj rozrywki polowanie na słonie, kobiety zajęły się dostarczeniem zapasów żywności na dni kilka, mężczyzni zaś wydobywali i czyścili wszystkie strzelby, jakie tylko mieli u siebie. Nasłuchawszy się opowiadań o waleczności i odwadze tych dzikich, spodziewałem się że polowanie będzie wielce ciekawém i robiłem również przygotowania aby wyruszyć wraz z niemi w pole.

V.

Polowanie na słonie — Bitwa formalna — Człowiek zabity — Co się z nim dzieje po śmierci — Zwyczaje słonia — Jego mięso — Kobiety Fans'ów — Obrzędy weselne — Przynoszą ciało do zjedzenia — Taksa ciała ludzkiego — Powieści o ludożerstwie Fans'ów — Rozmaite obyczaje i pochodzenie tego ludu — Oshebos'y — Dalszy kraj — Przesądy — Talizmany i bożyszcza — Powrót — Na górze Noya — Odwiedziny u wodzów murzyńskich—Ezongo—Zamiary krajowców względem moich pakunków — Alapay — Mbichos'y — Polowanie z siatkami — Napad mrówek *baskikounay*— Ubrania Mbichos'ów i przesądy ich względem księżyca—Igouma—Wielka jaskinia—Przejście przez bagna.

Wyruszyliśmy wreście na polowanie w około pięciuset ludzi, na których był sam król Ndiayai. Szliśmy w głębokiém milczeniu upatrując śladów słonia. Krajowcy znając miejsca w których przebywa, przed rozpoczęciem polowania robią wśród lasu gdzie się uda zapory plątając gałęzie wiciokrzewów. Zapory podobne są za słabe aby zatrzymać olbrzymie te zwierzęta, lecz utrudniają im niezmiernie ucieczkę, zanim bowiem słoń przedrze się przez splątane zarośla, strzelcy nadbiegają i częstokroć zabijają go na miejscu. W dniu następnym upolowaliśmy w ten sposób czterech słoni. Murzyni byli w zachwyceniu, co do mnie wyznaję że ten rodzaj polowania zaczynał mię nudzić, a nadto zdawał mi się nieszlachetnym, albowiem zwierze wpędzone bywało zawsze w zasadzkę przez strzelców, którzy podchodzili ostrożnie czołgając się po ziemi. Słonie w tych stronach Afryki są nadzwyczaj odważne, nie wahają się rzucić nieraz na człowieka, z téj więc przyczyny polowanie na nich wymaga wielkiéj przezorności i przytomności umysłu. Jeden z naszych ludzi zapatrzył się w inną stronę i słoń natychmiast zdeptał go nogami. Towarzysze nieszczęśliwego który pozostał na miejscu bez życia, doścignęli słonia mordercę, zabili go i porąbali w kawały z wściekłością. Na słonie uderzają zazwyczaj z tyłu z przyczyny że nim się obróci ciężkie i olbrzymie zwierze, jeżeli nie jest śmiertelnie ranione, strzelec może szukać schronienia na drzewie. Opowiadał mi Ndiayai że pewną razą słoń wyrwał trąbą młodocianą palmę na którą on wsko-

czył, musiał więc czemprędzéj z wielką zwinnością przerzucić się na drugą aby ratować życie. Strzelcy nieraz także przez nieuwagę wpadają w sidła które sami zastawili, zaplątując się pomiędzy zarośla, wtedy również ratować się mogą jedynie ucieczką na drzewo. Po skończoném polowaniu odbywała się każdodziennie ceremonja dziękczynna za pomyślną wyprawę, a zarazem ofiary najlepszych kawałków dla bóstw miejscowych, wynoszone były w miejsce ustronne skąd bóstwa je zabierać miały; zdało mi się że wyręczał je w tém *grigri* to jest człowiek który był zarazem czemś nakształt kapłana i doktora. Reszta mięsa słonia była natychmiast uwędzoną i zachowaną do dalszego użytku, co zaś do ciała nieszczęśliwego strzelca, to zostało sprzedane ludziom sąsiedniéj wioski którzy je zjeść mieli. Dziwną jest czasem nie oględność słoni tak zazwyczaj rozumnych i przezornych, gdy sobie upodobają jakie miejsce dla drzew których lubią objadać liście, pozostają tam bowiem bez przerwy, mimo że codziennie na nie polują. Czasami tylko zdarza się że za pierwszym pokazaniem się strzelców, uciekają wszystkie na raz w inną część lasu, w któréj znów potrzeba je ścigać i robić zapory. Innym jeszcze sposobem murzyni polują na słonie; zawieszają wpośród wijących się poplątanych krzewów olbrzymi kloc drewniany, zakończony żelaznym szpicem, w ten sposób że gdy słoń zaplącze się tamże, kloc spada i wbija mu żelazo w krzyż który druzgocze. Mięso słonia które murzyni lubią bardzo, jest niezmiernie twarde i żylaste, choćby go nawet i dwa dni gotować nie jest miększe, ma przytem jakiś smak mdły do którego niemogłem się nigdy przyzwyczaić. Przez cały ciąg pobytu naszego w lasach deszcz padał rzęsisty, byłem zatem mocno uradowany skoro nadeszła chwila powrotu do domu, gdzie mogłem przynajmniéj zmienić odzież i przespać się w suchém miejscu. W drodze król opowiadał mi różne zwyczaje dotyczące ceremonji zaślubin. Żona kupuje się u Fans'ów, ojciec młodéj osoby podwyższa jéj cenę w miarę większego zakochania konkurenta. Obręcze miedziane, białe perełki i półmiski miedziane zwane *neptuny* bywają zazwyczaj zapłatą wyborną za żonę. Nabywa się tych towarów za kość słoniową. Na kilka dni przed obrzędem weselnym przyjaciele nowożeńców zajmują się dostarczeniem w jak największéj ilości wędzonego mięsa słonia i palmowego wina, poczem cała wieś gromadzi się aby uczestniczyć zaślubinom które są niczem więcéj jak rodzajem sprzedaży publicznéj. Szczęśliwa para jest przystrojoną stosownie do okoliczności, narzeczony ma na głowie strój z piór różnokolorowych, jest cały wysmarowany tłustością i zęby ma uczernione jak heban, nóż myśliwski wisi mu przy boku a skóra lamparcia przepasuje z wdziękiem biodra Oblubienica jest ubraną daleko skromniéj, albo raczéj nie jest całkiem ubraną, jak wszystkie tamtejsze kobiety, lecz tylko przyozdobioną mnóstwem obręczy miedzianych i wielką ilością białych perełek wplecionych we włosy. Uroczystość weselna trwa zazwyczaj dni kilka, tojest dopóki nie zostaną wyczerpnięte zgromadzone zapasy żywności. Oprócz znanego wszędzie *tam-tam*, Fans'owie posiadają jeszcze drugi instrument muzyczny zwany *handja*, jest to rodzaj cymbałek, godny dowcipną budową zająć miejsce pomiędzy wynalazkami cywilizowanego świata. Otwory tego instrumentu pokryte są skórą zdjętą z brzucha olbrzymich pająków, licznych bardzo w tych stronach. Pewnego dnia po powrocie naszym przyniesiono na sprzedaż ciało umarłego człowieka. Dowiedziałem się wtedy z obrzydzeniem i zgrozą, że Fans'y zakupują ciała umarłych wsi sąsiednich aby je zjadać i odprzedają nawzajem ciała swoich nieboszczyków. Przez dni kilka czułem się chory, taki mię wstręt przejmował ilekroć pomyślałem o tem, że jedzą obok mnie ciała chorych. Opowiadano mi nadto jeszcze, że były wypadki gdy ciała te już pogrzebione wykradali z cmentarzy, gotowali lub wędzili a następnie jedli. To opowiadanie zda się może niejednemu z czytelników niepodobne do prawdy, muszę zatem nadmienić że wielebny Wiljam Walker, członek missji Gabonu upoważnił mię aby się w tém wszystkiém odwołać do jego świadectwa. Osady Fans'ów graniczących z innemi pokoleniami zdają się wstydzić i zapierać tego straszliwego ludożerstwa,

jest zatem nadzieja że z czasem wytępioném zostanie, tem bardziéj że pokolenie Fans'ów jest nader ruchliwe i ciągle zbliża się potrosze do brzegów Gabonu. Lud ten zresztą posiada wszelkie warunki do prędkiego przyjęcia cywilizacji, jest nader przemyślny i pojętny, wyrabia różne przedmioty z gliny, żelaza i drzewa nieznane innym murzynom. Co do obyczajów są również zabobonni jak drudzy i sprzedają część swych ludzi karząc ich za różne przestępstwa. Nadmienić także muszę że niezjadają ciał swych królów i wodzów, lecz grzebią je zwyczajnie w ziemi. Król Ndiayai zrobił zaraz ze mną wycieczkę do sąsiednich Oshebas'ów których wódz był jego przyjacielem. Wszystko tam podobne było jak u Fans'ów, też same małe i brzydkie kobiety, oraz stosy kości ludzkich przed domami. Król tameczny Bunbakai przekonawszy się że widok mój nie był szkodliwy Ndiayaiowi, postanowił mię poznać również. Był to starzec dość wesołego usposobienia ubrany tak samo jak Ndiayai; wypytywałem go o dalsze kraje które miałem ochotę zwiedzić, opowiedział mi że zamieszkałe były przez wojownicze również ludożercze pokolenia, tak niechętne sąsiadom, że zazwyczaj witają przybyłych zatrutemi strzałami. Opowiadanie to potwierdzone przez drugich, ostudziło niezmiernie zapał mój do dalszéj podróży, tem bardziéj że ludzie Mbema niechcieli mi w niéj towarzyszyć, niemiałem zaś ochoty pozostawać sam u Fans'ów; znając ich skłonność do ludożerstwa niechciałem się narażać na zjedzenie, a osobliwie w razie gdybym zachorował. Postanowiłem zatem powrócić tam skąd przybyłem, obierając sobie inną drogę, aby przecież poznać jeszcze nową okolicę. Pomimo okropnego wrażenia jakie mi sprawiło ludożerstwo tego pokolenia, sądzę że Fans'owie największą mają przyszłość przed sobą ze wszystkich ludów murzyńskich które zwiedziłem, zarówno z przyczyny bystrości umysłu, odwagi, zręczności jak jakiejś nieznanéj gdzieindziéj siły żywotnéj rozlanéj widocznie pomiędzy niemi. Religja u nich jest tak jak wszędzie bałwochwalcza, wierzą zarówno w czary, talizmany etc. etc. Każda rodzina ma w chacie bożyszcze olbrzymich rozmiarów któremu cześć oddaje. Otaczają te posągi czaszkami różnych zwierząt złożonych im w ofierze. Gdyby ktoś poważył się dotknąć jednéj z tych czaszek, byłby ukarany śmiercią jako świętokradca. Fans'owie są znani także na wybrzeżu pod nazwą *Paouen'ów*. Jednym ważnym bodźcem do zaniechania ludożerstwa będą dla nich częstsze, a obecnie rzadko pojawiające się małżeństwa z pokoleniami innych murzynów, którzy się brzydzą jedzeniem ludzkiego ciała. Małżeństwa te zawierają się najwięcéj dla rozszerzenia stosunków handlowych. Mbema korzystał z obecnéj wycieczki aby pojąć za żonę córkę Ndiayai'a i odchodził uradowany nadzieją, że nowa rodzina niezaniecha mu nadesłać w wielkiéj liczbie kości słoniowéj, którą on następnie zamieni za inne towary z korzyścią dla siebie. Cała wieś zdawała się być zasmuconą moim odjazdem. Neliagai podarował mi nóż myśliwski na pamiątkę; dar ten miał wartość tabakiery wysadzonéj djamentami którąby ofiarował inny król, gdyż noże należą do najdroższych przedmiotów w Afryce. Na kilka dni przed odjazdem Mbema zakupywał żywność, namówił mię abym wraz z nim zrobił wycieczkę w tym celu, do jednéj z sąsiednich wiosek; przekonałem się zaraz że uczynił to dla tego aby się mógł przedstawić wraz ze mną ojcu jednéj ze swych żon, potężnemu wodzowi Mbichos'ów imieniem Imana. Uradowanym tém murzyn że widział zięcia w tak dostojném towarzystwie, podarował mi dwie kury i kilka bananów. Nasza wyprawa składała się z dwudziestu mężczyzn trzynastu kobiet i dwojga dzieci. Rozdzielając ciężary starałem się zawsze ulżyć kobietom, co niezmiernie dziwiło ich próżniaków mężów, którzy znajdowali to bardzo naturalném aby je obarczać więcéj niż siebie. Kilka dni już byliśmy w drodze gdy nagle jakiś szmer niezwykły zaniepokoił moich towarzyszy. Powiedzieli mi że zbliża się niezawodnie horda nieprzyjaznych im Sekianisów i że przyjdzie niezawodnie do krwawéj utarczki. Wiedząc jak dzicy zawzięcie się biją z nieprzyjaciołmi swemi, obmyśliłem co najprędzéj środki obrony, porozdawawszy i opatrzywszy broń, czekałem gotów na przyjęcie napa-

stników, którzy pokazali się dopiero za pół godziny.... nie byli to jednakże Sekianisy lecz tylko grono krzykliwych małp, z których moi ludzie z tuzin ubili sobie na wieczerzę, Wojownicy téj części Afryki nie zalecają się bynajmniéj odwagą, wojują najczęściéj podejściem i zabijają bezbronnych, lecz nie narażają się nigdy na spotkanie w otwartém polu. Zaczynała się pora dżysta, rzadko już kiedy świeciło słońce, a natomiast deszcz padał bez przestanku, tak że przemoknięci byliśmy ciągle do nitki. Bardzo byłem zadowolniony gdy już stanęliśmy we wsi Mbemy, że będę mógł przespać się pod dachem w suchém miejscu, lecz na moje nieszczęście umieszczono mię w sąsiedztwie trojga dzieci królewskich, które tak krzyczały że noc całą oka zamknąć nie mogłem. Murzyni obecnie nie mieli czasu zajmować się dziećmi, pora deszczów już nadeszła, a jeszcze nie wszystkie pola były obsadzone. Nazajutrz rano cała ludność wyległa do roboty dzieci zaś porzucone same, bawiły się przez cały dzień smutnie w błocie, pożerając chciwie trochę pistacji które im zostawiły matki. Widziałem że trudno mi będzie zabawić dłużéj u Mbemy dla braku żywności. Niemogłem jeść samych orzechów a kury i banany których mi dostarczano wiele kosztowały zachodu zanim je kupić można było. Mbema wstydził się swéj nędzy i tłomaczył ją ciągle niedawném osiedleniem w tych stronach, pożegnałem go wynagradzając sowicie poświęcenie i trudy które dla mnie ponosił. Obdarowałem także według przyrzeczenia wszystkich innych ludzi, z wielką tychże radością i udałem się wraz z kilkoma z nich po czułém pożegnaniu z Mbemą na wybrzeża rzeki Noya, przez którą chciałem odprawić żeglugę tak jak poprzednio przez Natambounay. Burza zaskoczyła nas w pół drogi tak że szukać musieliśmy schronienia wśród gęstych sklepień liści lasu. W tych krajach wegetacja jest tak bujna, że podobny naturalny namiot ochronić może doskonale przed ulewą. Rozpaliwszy dobry ogień, gdy deszcz nieprzestawał padać pokładliśmy się na spoczynek. Około północy zbudziły mię wycia lampartów, roznieciłem przygasły ogień aby ich w ten sposób trzymać w oddaleniu i usnąłem napowrót. Rano dostrzegliśmy mnóstwo śladów tych zwierząt i prócz tego ślady słoni które nas widocznie unikały. Widzieliśmy także dziwnego wodnego węża bardzo dużego. Był cały czarny w żółte pierścienie, murzyni zaręczali że jest niezmiernie jadowity lecz że można go jeść odrzuciwszy tylko głowę. Starali się też zabić go lancami lecz im się wyśliznął. Przybyliśmy wreście na brzeg rzeki którą puściliśmy się w czółnach. Noya jest wspaniałym potokiem który szeroko rozlewa swe wody, ani podobieństwa do nędznego strumienia który tworzy Natambounay. Żeglując przyglądałem się wybrzeżom cudnéj piękności. Patrząc do koła zdaje się nie do pojęcia prawie jak te ciche wioski ocienione tak bujną roślinnością mogą być siedliskiem różnych dzikich zbrodniczych obyczajów. Przybyliśmy po południu do wsi jednego z przyjaciół Mbemy, przyjął nas jak najlepiéj. Pomieszczony w wygodnéj chacie cieszyłem się że spocznę, gdy znów zaczęli się cisnąć ze wszech stron ciekawi, dla których byłem obecnie dwojako bohaterem, raz jako człowiek biały, drugi raz zaś jako podróżujący wśród strasznego i dzikiego pokolenia Fan-s'ów, przez które według czynionych mi przepowiedni miałem być zabity i zjedzony. Król Wango prosił aby zatrzymać się u niego dni kilka obiecując mi dać przewodników w dalszéj podróży. Przystałem na to chętnie i odprawiłem ludzi Mbemy. Zwiedzałem sąsiednie wioski w których przyjęty byłem zawsze nader uprzejmie i polowałem na rzadkie ptaki, wypychałem je potem co niezmiernie dziwiło krajowców. Gdy przyszedł dzień odjazdu żegnano mię z rozczuleniem i odprowadzono w dwieście przeszło osób na brzeg Noyi którą popłynąłem daléj. Nad wieczorem wysiedliśmy aby dalszą podróż pieszo odprawić, wśród cudownie zawsze pięknéj okolicy. Po zachodzie słońca stanęliśmy w małéj wiosce któréj mieszkańcy najmiléj nas przyjęli, sądząc że pakunki moje zawierają jakieś kosztowne towary. Wódz ich z téj przyczyny niechciał mię wypuścić nazajutrz bez sutego okupu. Rozgniewany tem srodze niechciałem się skłonić do najmniejszego daru, tem bardziéj że zapasy

moich towarów były już oczywiście tak wyczerpane, że zaledwie miałem trochę białych perełek dla opłacenia przewodników. Daremnie jednakże opierałem się, musiałem w końcu dać jedną suknię i starą koszulę aby się wydobyć z rąk tych rozbójników. Udałem się następnie w okolicę którą już znałem poprzednio. Stary mój przyjaciel król Alopay przyjął mię z oznakami najwyższéj radości. Wiedząc że nie odmówi mi nic na kredyt, zabawiłem dni kilka w jego wiosce, aby polować z siecią *ashiga* na sposób Bakalais'ów. Dziwny ten rodzaj rozrywki znany jest tylko w téj stronie Afryki. Siecie porobione są z grubych sznurów plecionych z włókna ananasów i innych krzewów, aby niemi zakryć znaczną przestrzeń; krajowcy łączą się zazwyczaj z kilku lub kilkunastu wiosek i dzielą się następnie upolowaną zwierzyną. Wyruszyliśmy tedy na łowy wielką gromadą. Doszedłszy do oznaczonego miejsca, wszyscy poczęli zastawiać swoje sieci tak aby połączone jedna z drugą tworzyły obszerne półkole. Gdy już ta robota była ukończoną, zaczęliśmy za pomocą psów naganiać zwierzynę, która niemogąc przejść zakreślonego miejsca łatwo dawała się zabić lub wziąść żywcem. Upolowaliśmy w ten sposób dużą antylopę i kilka pomniejszych czworonożnych zwierząt. Psy które nam ku temu były niemałą pomocą są niewiększe wzrostem od innych ze sterczącemi uszami, niebardzo nawet rozumne, lecz przeraźliwym szczekaniem tak straszą leśne zwierzęta, że te na oślep lecą w sieci. Za powrotem do wsi podano mi obiad godny królewskiego stołu; składał się on z bananów przyrządzonych na różne sposoby i ze zwierzyny najdelikatniejszego smaku pieczonéj lub duszonéj w soku cytrynowym. Mocno strudzony położyłem się wcześnie. Nagle wśród nocy zbudziłem się uczuwszy ból w całém ciele. Zapaliwszy światło dostrzegłem że całe moje mieszkanie napełnione było mrówkami zwanemi *baschicouays*. Pokąsany okrutnie wybiegłem na dwór wołając o pomoc, krajowcy nadbiegli z pochodniami i uwolnili mię wkrótce od napastnic, dostrzegliśmy jednakże wtedy, że ściągnięte zapachem świeżéj zwierzyny owady te już wieś całą napełniały. Rozpalono sznur ognia aby ich wstrzymać w dalszym biegu, mimo to opuściły nas dopiero około rana. Pożarły całą antylopę którą chciałem wypchać oraz wszystko co znalazło się pod ręką. Wielka liczba i żarłoczność tych strasznych owadów była zawsze przedmiotom podziwu. Ogień jedynie zmusił je do cofnięcia się, co jednakże uczyniły w wielkiém porządku. Murzyni wioski w której byłem, są najnieporządniejsi ze wszystkich jakich widziałem dotąd. Żony ich są jeszcze obrzydliwsze, gdy pokryją się całe grubą warstwą tłustości i zasiędą koło ognia, trudno znieść powietrza przesiąkniętego wyziewami ich ciała. Uważałem pomiędzy niemi przesąd którego niewidziałem dotąd u innych. Pierwszéj nocy po pełni zachowują najgłębsze milczenie, jeżeli mówią to bardzo cicho, król zaś wychodzi pomalowany cały biało, a zwróciwszy wzrok na księżyc wykonywa różne dziwaczne tańce. Zabawiwszy tydzień u Alapaya prosiłem go o przewodników i wyruszyłem w dalszą drogę, żegnany ze łzami przez poczciwych krajowców. Zapuściliśmy się w las ciemny i samotny w którym gnieździć się miały słonie i lamparty, niespotkaliśmy jednakże żadnego z tych zwierząt. Hipopotamów niema całkiem w tych stronach, co dziwném jest zważywszy na miejscowość pełną rzek i jezior. Słonie pojawiają się za to często i to jeszcze z kłami których kość jest najlepszego gatunku zwanego *zielonym* z przyczyny że powierzchnia jéj jest zielonawego koloru i dopiero gdy ta powłoka zdartą zostanie przez tokarza, ukazuje się tło pięknego białego koloru który nie tak prędko żółknie jak zwyczajna kość zakupywana na wybrzeżu. Najstarsza z żon Alapay'a podarowała mi na drogę trochę suszonéj ryby i chleba zwanego *igouma* wypiekanego z manioku. Żyłem tém przez pierwszy dzień podróży, nienapotkawszy innéj żywności w wiosce na w pół dzikich Mbichosów, gdzie wypoczywaliśmy kilka godzin. Ludzie ci przypatrywali mi się jak dziwnemu, nieznanemu sobie jeszcze zwierzęciu. Wyruszywszy daléj napotkaliśmy wśród skał szeroką i piękną jaskinię która jak to znać było po wygaszonych świeżo ogniskach, służyła niedawno zaschronienie

gromadzie wędrownych krajowców. Zwiedziwszy ją przyglądałem się z zachwyceniem cudownéj do koła okolicy, ożywionéj wspaniałym wodospadem przezroczystéj jak kryształ wody. W skale z któréj wypływał, dostrzegłem wydrążenie jaskini którą zwiedzić zamierzyłem niebawnie. Weszliśmy z zapalonemi pochodniami w dość obszerną przestrzeń, pod któréj sklepieniem poruszyła się natychmiast gromada niedoperzów, z hukiem podobnym do grzmotu. Moi ludzie umierali ze strachu i nie chcieli iść daléj. Niezadługo strumyk przecinający pieczarę przerwał naszą wędrówkę. Chciałem go przebyć w bród, témbardziéj że nie był zbyt głęboki, lecz murzyni jęli straszyć jadowitemi wężami niechcąc ani kroku ruszyć daléj. Miałem rzeczywiście wielki wstręt do wężów, myślałem już więc cofnąć się gdy po drugiéj stronie dostrzegłem w ciemności parę okrągłych oczów, błyszczących jak dwa żarzące węgle. Niezastanawiając się i chwili wystrzeliłem ku nim. Zrobił się wtedy straszny hałas w pieczarze któréj echo powtarzało huk strzelby. Niedoperze przywiedzione do szaleństwa tą niespodzianką, rzuciły się wściekle ku nam i zagasiły wszystkie pochodnie. Wyznaję że strach paniczny ogarnął mię również wtedy i wraz z drugiemi rzuciłem się do otworu pieczary. Wyszedłszy na świat Boży niemogliśmy się dość nacieszyć jego pięknością. Niezatrzymując się długo ruszyliśmy daléj, aby ujść jeszcze z kawał drogi do wybrzeża, gdzie spieszno mi było przybyć. Wijące się pomiędzy drzewami krzewy utrudniały ciągle drogę naszą. Nagle przecięły ją bagna, które przebyć trzeba było skacząc z kępy na kępę. Można sobie łatwo wyobrazić utrudzenie podobnéj przeprawy. Trzeba się było czepiać ciagle krzewów, skakać, wieszać, słowem zwijać się jak małpa, aby niewpaść w błoto, w którém w dodatku gnieździć się jeszcze mogły jadowite gady. Po godzinie podobnéj męki jeden z ludzi naszych począł krzyczeć przerażliwie: *omemba! omemba!* co znaczyło że na drzewie które schwycił, napotkał czarnego węża. Wpadł w błoto z przestrachu i ledwo się zeń wydobył, wąż zaś wystraszony również niespodziewaném dotknięciem, począł uciekać, na nieszczęście w stronę gdzie wszyscy się przeprawialiśmy, narobił więc znów niemało popłochu. Niezadługo potém byliśmy już na przeciwnym brzegu bagna, gdzie powitał nas radosnemi wystrzałami mój dobry przyjaciel król Apouvon. Gdy mu ludzie Alapay'a opowiadali naszą przeprawę, dziwił się bardzo czemu biały człowiek chciał się narażać dobrowolnie na tyle przykrości. Pod ten czas przyglądałem się położonéj niedaleko ztamtąd zatoce Korysko i dziękowałem niebu że mi dozwoliło znów oglądać wybrzeża, do których powracałem po tylu niebezpieczeństwach i trudach.

VI.

Na wodach Mondachu — Przykrości afrykańskiego podróżnika — Zakład missyjny — Handel drzewem farbiarskiém - Zbiór Kauczuku — Tortura kobiety — Bawół i lampart — Podróż do kraju Camma — Dalsze podróże — Miasto Waschington — Król Olenga Jombi—Żywy mały gorill którego nazwałem Joe — Polowanie na hipopotamy i opowiadania o tych zwierzętach.

Lato było już przy końcu, pora dżdżysta wkrótce się miała zacząć, umyśliłem przeto za nim powrócę tam zkąd przybyłem, odbyć jeszcze podróż po rzece Mondach i przebyć pas ziemi który ją oddziela od Gabonu. W Afryce przygotowania do podróży trwają bardzo długo, trzeba bowiem najczęściéj samemu sporządzać wszystkie potrzebne przybory. W dziesięć dni dopiero wypłynąłem na wody Mondach'u. Niemożna było posuwać się prędko dla przeciwnego wiatru, aby więc zmniejszyć nudy podróży, polowałem na ptaki gnieżdżące się po wysepkach rzecznych. Były one w nadzwyczaj wielkiéj ilości, nęciła je do rzeki obfitość ryb któremi się żywiły. Całe szeregi pelikanów przeciągały wspaniale obok naszego statku. Z drugiéj znów strony czerwonaki przecinały rzekę, niby sznurem ognistym szkarłatnéj swéj barwy. Gdziekolwiek tylko ziemia bagnista wyglądała z wody, stały poważnie czaple i inne wodne ptaki, drzewa zaś pokryte były ślicznemi *egretta flavirostris*, których świetne białe pierze zdala jak śnieg wygląda. Nad zachodem słońca przybyliśmy do wioski Sekianisów handlujących farbiarskiém drzewem i kauczukiem obficie rosnącym w tych stronach. Żegluga dnia następnego

bardzo zaczęła się nieprzyjemnie, oba brzegi rzeki pokryte były bagnami zarośniętemi mangoliowemi drzewami. Z bagien tych wydobywała się woń niemiła i szkodliwa zdrowiu, dodać jeszcze do tego trzeba, że żegluga wielce utrudnioną była przez zarośla i deszcz kropił niemiłosiernie, można więc łatwo wyobrazić sobie wszystkie dnia tego przykrości; lecz nie na tém koniec. Zanocowawszy w wiosce należącéj do Mbichos'ów spostrzegłem rano że ludzie moi zapłaceni z góry za całą podróż opuścili mię. Szczęściem że nie skradli rzeczy. Zostawszy na łasce krajowców pomiędzy któremi byłem, musiałem nowe zawierać umowy aby wyruszyć dalej. Trudno wypowiedzieć ile znów miałem nieprzyjemności i kosztów. Wyruszyłem wreście. Płynęliśmy znów wśród smrodliwych wyziewów bagien i lasu mangolji, gałęzie niektórych z tych drzew spuszczone nizko w wodę, okryte były ostrygami które się do nich przyczepiły podczas gdy woda była większą. Powietrze którém oddychałem i w dodatku palące słońce, nabawiło mię silnego bólu głowy. Orzeźwiłem się dopiero nieco gdy wypłynęliśmy na większą wodę, któréj brzegi odmienną przedstawiały postać. Było to już na czterdzieści mil blizko od ujściaManduchu, okolica śliczna, powietrze wonne od łąk zielonych, niedługo tóż wpłynęliśmy w małą zatokę zwaną Ikoi gdzie niedaleko zamieszkiwać mieli missjonarze. Mondach jest rzeką bardzo niemiłą do żeglugi dla swych bagien i wyziewów, mieszkańcy okoliczni są też drobni i chorowici; czasami tylko gdzie niegdzie znajdą się na wybrzeżu zielone łąki i pagórki, na których rośnie w wielkiéj obfitości farbiarskie drzewo. Szliśmy ciągle ścieżką wśród lasu która nas zaprowadziła na noc do wsi Bakalaisów, niechciałem nocować pomiędzy niemi, dodali nam więc przewodników i ruszyliśmy daléj przy świetle smolnych pochodni. Już uszliśmy kawał drogi gdy na nieszczęście stąpiłem na gniazdo mrówek *baschicouays*. Obeszły mię w jednéj chwili tak że musiałem wołać ludzi na pomoc aby się od nich uwolnić. Cierpiałem okropnie przez chwil kilka, lecz w końcu wyswobodzony od tych strasznych owadów ruszyłem daléj. Niezadługo ludzie moi spostrzegli że zmylili drogę. Trzeba było zawracać się i wpadłem znów na mrówki, lecz tą razą prędzéj się już od nich uwolniłem. Odzież moja była cała poszarpana, myślałem już że lepiéj było zanocować raczéj między temi łotrami Bakalaisami, niż utykać w lesie po nocy, gdy dosięgliśmy wreście kresu naszéj wędrówki, a widok budynku zamieszkałego przez missjonarzy, wynagrodził mi doznane trudy. Z wielką radością napotkałem tam dwóch dawnych znajomych wielebnych Best i Pierce. Wkrótce zasnąłem na *prawdziwém* łóżku i wypocząłem trochę moim utrudzonym kościom. Niepotrzebuję dodawać że znalazłem jak najlepsze przyjęcie, panowie Best i Pierce łącznie z panią Priston od kilku lat już zamieszkiwali tutaj wywierając wpływ niemały na Bakalajsów których dzieci wyuczyli już czytać i pisma Śgo. Ludność okoliczna zajmuje się handlem czerwonego drzewa. Pień tego drzewa zwany *ego-trec* w języku krajowców, jest wysoko wyniesiony i okryty u wierzchołka pękiem gałęzi o pięknych zielonych liściach, korę mu gładką czerwonawą, rośnie zaś w tak wielkiéj obfitości, że zdaje się być niewyczerpaném nigdy źródłem bogactwa, najtrudniejszą jest tylko i najkosztowniejszą zarazem dostawa na brzeg rzeki. Murzyni choć takie upodobanie mają w handlu, ani pomyślą nigdy aby mieć gotowy towar i dopiero gdy przybędzie statek kupiecki, pędzą na gwałt do lasu po drzewo. Sam rdzeń tylko drzewa jest właściwie przedmiotem handlu, a że pokrywa go gruba powłoka wiele zatém kosztuje pracy porąbanie i oczyszczenie pnia. Dodawszy że drzewo to nie jest przedmiotem zbyt poszukiwanym i nie wiele za niego płacą przyznać trzeba, że w tym rodzaju handlu, krajowcy więcéj się napracują aniżeli zyskać mogą. Handel kauczukiem dużo im więcéj dawniéj przynosił. W téj części Afryki kauczuk nie pochodzi z drzewa, lecz z rośliny zwanéj tamże *dambo*. Jest to wiciokrzew bardzo długi, okryty rzadkiemi ciemnozielonemi liśćmi, kształtu żelaznéj lancy. Kora krzewu jest brunatna; aby otrzymać dobry kauczuk trzeba ją naciąć trochę i wyciskać. Gdyby przeciwnie nacięcie było zbyt głębokie, wydzieliłby się z samego środka

pewien rodzaj mleka, który popsułby płyn otrzymany z po za kory. Niemogąc wystarczyć ciągłym obstalunkom kauczuku, murzyni poczęli mięszać z czemś innéın płyn otrzymany z rośliny. Towar stawał się w ten sposób gorszy co było ze szkodą handlu. O mały włos także niewyniszczyli ze szczętem rośliny, wyciągając z niéj często płynu w dwójnasób aniżeli to można było czynić. Krzew kauczukowy rośnie bardzo powoli, niełatwo zatém przyszłoby zastąpić wyniszczoną roślinę innemi krzewy. Przez lat parę nawet z tego powodu handel kauczukiem był wstrzymany i dopiero późniéj rozpoczęli go znów francuzi. Krzew kauczukowy rośnie zarówno w równinach jak na wzgórzach, płyn jednakże zbierany na wyższym gruncie jest dużo lepszy. Udając się pewną razą na polowanie towarzyszyłem zbieraczom kauczuku na wybrzeżu rzeki Benito. Przygotowania do podróży były nadzwyczaj ożywione, zabierano z sobą żywność na dni kilka, oraz wszelkie potrzebne do zbioru naczynia. Wyruszyłem w nader wesołém usposobieniu które jednakże znikło natychmiast, gdy napotkałem na wstępie do lasu trupa młodéj, nieszczęśliwéj kobiety, nieludzko zamęczonéj za jakieś mniemane zapewne przestępstwo. Torturowano ją widać za życia w zwyczajny u murzynów sposób, to jest przywiązaną była do drzewa w lesie, z ciałem poranionéın i natartem dla większego bólu pieprzem. Jeżeli dzikie zwierzęta niepożrą męczennicy, wtedy zazwyczaj umiera z głodu. Przywiedziony do niepohamowanego gniewu na widok świeżo dokonanego okrucieństwa, w pierwszéj chwili miałem ochotę rzucić się na murzynów z moją strzelbą, lecz nacóżby się przydało ukarać kilku, skoro podobne sceny powtarzają się codziennie w całéj Afryce. Jedno tylko czyste światło chrystjanizmu, rozproszyć może skutecznie barbarzyńską ciemność, w któréj pogrążeni ci nieszczęśliwi. Śpiewali oni wesoło nierozumiejąc nawet litości i wstrętu którym przejęty byłem, a po dwugodzinném rozpatrywaniu lasu, zaczęli najobojętniéj zbierać kauczuk znaleziony w wielkiéj obfitości. Gdy noc nadeszła zasnęliśmy przy blasku ogni rozpalonych dla obrony od dzikich zwierząt. Nazajutrz rano każda rodzina zaczęła zbierać sok z wynalezionych przez siebie krzewów, jedni mieli go większą, drudzy mniejszą obfitość, ztąd nieraz do kłótni i bójki przychodziło. Na wieczór schodzili się wszyscy i każdy zlewał zebrane mleko w drewniane naczynie w którém się zsiadało. Potém rozciągnięci przy ogniu rozpowiadali późno w noc wypadki dnia ubiegłego. Co do mnie miałem także do opowiadania, jak omało zabity niebyłem od dzikiego bawołu, którego chybiłem zrazu i późniéj dopiero zdołałem trafić kulą w samą głowę. Polowałem także codziennie na dziki. Pewną razą gdy czychałem już późno w wieczór na moją zwierzynę usnąłem strudzony. Nagle zbudził mię ryk straszny niemogłem w nim rozpoznać głosu żadnego ze znanych mi zwierząt Przetarłem żywo oczy i obejrzałem się do koła lecz nic nie dostrzegłem posunąwszy się dopiero w głąb daléj, za powtórnym rykiem zobaczyłem dzikiego bawołu galopującego z lampartem uwieszonym na szyi, który mu ssał krew z szerokiéj rany. Bawół chciał się pozbyć strasznego przeciwnika, ryczał z bólu i z przestrachu tarzał się po ziemi lecz wszystko było daremnie. Chcąc skrócić jego męczarnie, wystrzeliłem mierząc do lamparta, niedowiedziałem się jednakże o skutku mego wystrzału, bo bawół znikł w szalonym pędzie, unosząc zawsze na karku przeciwnika. Wkrótce coraz słabszy ryk a wreście głębokie milczenie kazało domniemywać, że lampart wraz z krwią pochłonął życie swéj ofiary. Zazwyczaj gdy szedłem na polowanie czerniłem sobie twarz i ręce węglem aby ujść za murzyna, albowiem dzikie zwierzęta są niezmiernie rozdrażnione widokiem białego człowieka. Pobyt nasz w lasach trwał tydzień cały poczém murzyni powrócili rozradowani do domów unosząc około 500 funtów zabranego kauczuku. Ale muszę powrócić do podróży którą zacząłem opowiadać przed tém. Podczas mego pobytu u panów Best i Pierce pomnożyłem moje zbiory ptaków pięknym bardzo rodzajem kuropatwy *(francolinus squamatus)*. Ma ona piękne pierze i żyje zawsze w towarzystwie drugiego ptaka tego samego rodzaju. Drugim ciekawym tamże znalezionym okazem był ptak

nazwany przez akademję nauk przyrodniczych w Filadelfji na cześć moją *barbatula du Chaillu*. Ma on piersi ciemno-szafirowe, główkę pąsową, grzbiet czarny w żółte centki, a po nad oczami dwie żółte pręgi spadające na szyję. Śliczne to ptasze gnieździ się w pniach drzew uschłych, gdzie dzióbem wydrąża sobie gniazdo, które potém wyściela mchem suchym. Powróciłem z zatoki Ikoi do Gabonu bez żadnych szczególnych wypadków; kilka tygodni jeszcze pozostałem w miejscu dla zwiedzenia tamtejszéj okolicy, poczém wyruszyłem na nowo w dalszą podróż w inne strony. Chcąc zwiedzić krainę Camma położoną niezbyt daleko od przylądka Lopez, opuściłem Gabon na schoonerze zwanym *Karolina* którego kapitanem był portugalski murzyn Cornillo. Miałem za towarzyszy podróży siedmiu ludzi z różnych pokoleń i prócz tego dwóch Mpongwów z żonami, którzy mi przewodniczyć mieli w nieznanym kraju. Gdy wypłynęliśmy na pełne morze wszyscy za wyjątkiem kapitana ulegli morskiéj chorobie. Oyaya jeden z moich ludzi sam już mocno cierpiący ratował młodą swą żonę. Nic pocieszniejszego jak ten biedny murzyn, rzeczywiście zakochany w kobiecie niedawno poślubionéj, która, jak mi powiadano, miała już trzeciego męża, chociaż jeszcze nieskończyła lat dwudziestu. Niezadługo gdy wszyscy czuli się nieco lepiéj zerwała się sroga burza, która aczkolwiek krótko trwała, jednakże nadwerężyła statek. Nazajutrz rano obudziwszy się ujrzałem że byliśmy niedaleko przylądku Śtéj Katarzyny i ujścia rzeki Fernando-Vaz. Płynąc około wybrzeża napastowani byliśmy ciągle przez krajowców, którzy przybywali do nas na łodziach, obiecując różne świetne korzyści, byleby tylko pomiędzy niemi osiąść i założyć faktorję. Nieprzyjęliśmy naturalnie tych propozycji; niechciałem się nawet zatrzymywać pomiędzy niemi, chcąc prędzéj już dojść do celu méj podróży, wioski króla Rampana, dobrego znajomego mego przyjaciela Will Glass'a. Wspominałem już nieraz o namiętności do handlu murzynów, to też gdy wylądowaliśmy, ludzie miejscowi o mało mię nie udusili z radości. Wyprawiłem jednego z nich z posłannictwem do króla, tymczasem inni otoczyli nas do koła zapraszając usilnie do siebie. Niektórzy byli podwładnemi króla Sangala z wioski Elindé. Zaczęli przechwalać swego monarchę kosztem Rampana którego starali się poniżyć. Gdy już noc zapadła przyszedł do mnie Nchouga, brat króla z przylądka Lopez, wygnany od brata za czary. Przebywał on u ojca żony Sangala i zapewnił mię że tenże nigdy niedopuścić abym miał być gościem Rampana, radził więc abym zaraz wylądował w Elindé. Niechciałem tego uczynić mając inne zamiary, lecz nazajutrz Sangala przysłał po mnie łódź, rad nierad więc musiałem mu oddać wizytę. Za przybyciem dostrzegłem że monarcha ten był pijany. Począł mię łajać od razu że wprost do niego nieprzyjechałem, dodał w końcu że nigdy niezezwoli na moją lokację u Rampana, mając sam nieograniczoną władzę nad całém wybrzeżem. Oświadczyłem wręcz że nie uczynię tego. Spieraliśmy się jeszcze gdy nadszedł sam Rampana. Oświadczył butnie, że potrafi bronić praw swych i że mię zabierze natychmiast. Jakoż wkrótce wsadził mię do swéj łodzi i odpłynęliśmy wśród gróźb Sangala. Groźby te jednakże nie były daremne, bo niezadługo obrażony władca, zwoławszy w pomoc sąsiadów wyruszył przeciw Rampanowi. Obozy nieprzyjacielskie już stały na przeciw siebie, gdy udało mi się postraszyć należycie obu przeciwników zapowiedzeniem że przyzwę na pomoc okręta ludzi białych, krążące dla strzeżenia handlu niewolnikami. Posłuchano mię i wojownicy rozeszli się do domów pozostawiając mi wolność zamieszkania gdzie zechcę. Naturalnie że zostałem w miejscu, gdzie mi uradowany król wydzielił osobny domek. Miałem późniéj tylko małą nieprzyjemność z jednym z ludzi mego gospodarza, któren chciał najpierw wmówić we mnie że mu obiecałem rzeczy, o których nawet mowy nie było między nami, potém niby oszukany przezemnie groził mi zabójstwem. Niemogłem przepuścić bezkarnie podobnego zuchwalstwa. Zażądałem aby mi wydano winowajcę, a gdy niechciano tego uczynić, zabrałem się spiesznie i chciałem już odpłynąć na statku będącym właśnie w przystani. Wtedy dopiero nuże mię przepraszać i przeje-

dnywać, nietylko monarcha lecz wszyscy jego poddani, chciwi paciorków i perkalu który miałem z sobą, potem sprowadzić czémprędzéj winowajcę, abym go mógł sam ukarać. Naturalnie że wspaniałomyślnie wybaczyłem wszystko, co zjednało mi wiele serc i wywołało głośne okrzyki radości u zgromadzonego tłumnie przy drzwiach moich ludu. — Trzynastego września wziąłem w posiadanie moją nową rezydencję, była to wioska prawdziwa którą przezwałem Washington'em afrykańskim. Z domu miałem widok rozległy na rzekę Npoulounay, brzegi jéj obrośnięte były mangoljami, w przejrzystych zaś wodach igrały stada hipopotamów. Ponieważ zostałem kompletnie na łasce murzynów, przybrałem w obejściu z niemi postawę poważną i surową. Muszą wykonywać natychmiast moje rozkazy i niepozwalam im wydalać się nigdzie wśród nocy. Mimo to są nader zadowolnieni ze swéj służby, bo odbierają regularnie zapłatę i nadto jeszcze mają tytuniu pod dostatkiem. Pokolenie wśród którego zamieszkiwałem zwane było *commis* czyli *cammas*, miało obyczaje i postawę innych plemion murzyńskich. W kilka dni po obsiedlinach wyruszyłem w podróż. Płynęliśmy rzeką w nowo zakupionéj przezemnie wspaniałéj łodzi. Przed wyjazdem prosiłem miejscowych mieszkańców aby mieli staranie o rzeczach które pozostawiałem. Zapewnili mię z okrzykami zapału że mogę być pewien całości wszystkiego. Pierwszego dnia podróży, około godziny dziewiątéj w wieczór księżyc weszedł na niebo i oświecił krajobraz rzadkiéj piękności. Milczenie nocy przerwane było jedynie niekiedy krzykiem dzikiego zwierza, lub pluskiem wody poruszonéj przez zanurzającego się hipopotama. Około północy gdy ludzie moi bardzo się już czuli zmęczeni, wylądowaliśmy w małéj wiosce, gdzie trzy stare kobiety zbudzone ze snu, nie nader mile nas przyjęły. Na domiar biedy zerwała się straszna burza i musieliśmy przepędzić resztę nocy pod gołém niebem, z obawy aby wiatr nie zawalił szałasów na nasze głowy. O dziesiątéj rano przybyliśmy do ładnéj wioski Igalé-Mandé. Była ona wtedy wyludnioną, bo wszyscy mieszkańcy wyszli zbierać oliwę palmową. Spotkała mię tam niemiła niespodzianka bo ludzie moi oświadczyli że się nieruszą daléj. Dowiedziałem się późniéj że mieli jakieś intrygi z kobietami Anambia, miejsca w które się udać chciałem i że obawiali się zemsty ich mężów. Pozostawiłem ich tedy w miejscu a sam puściłem się daléj. Z Igale do Anambia było około dwóch godzin drogi przez kwieciste łąki, wziąwszy zatém nowych przewodników, udałem się daléj; w drodze spotkałem wiele nieznanych mi ptaków; upolowałem niektóre z nich, lecz niemogłem dosięgnąć najrzadszego zwanego *mysteria Senegalensis*, miał on tak długie nogi że uciekał chyżéj aniżeli na skrzydłach. Anambia leży na wybrzeżu morskiém; za czasów króla Reganda który tam panował przed dwudziestą laty, osada ta należała do najzamożniejszych, lecz po jego śmierci upadła znacznie. Obecnie posiada jeden tylko dom handlowy, który czyha na przechodzące okręta; za zbliżeniem się kupieckiego statku, wywieszają flagę angielską i wysełają łódź z zaprosinami. Król panujący obecnie Olenoa Yombi, na wieść o przybyciu białego człowieka porzucił spiesznie swe plantacje i wyszedł na moje spotkanie, otoczony wyższemi dygnitarzami. Jego królewska mość ustrojona była w długi surdut, lecz nienosiła żadnego spodniego ubrania. Choć przybyliśmy w rannych godzinach, osoba jego uderzała z daleka zapachem araku i wina palmowego. Powitałem króla darami bawełnianéj materji, fajek i tytuniu, co go wprawiło w dobry humor. Oświadczył że muszę być *dobrym chłopcem* i pozwolił mi zwiedzać swe państwo we wszystkich kierunkach. Korzystałem z tego pozwolenia i odprawiłem wycieczkę zaraz po południu. Zapuściłem się najpierw w piękne łąki wśród których przelatywały cudnego pierza ptaki jako to *mycterias* o długich nogach i śliczne *egrettas* których złociste pióra i białe jak śnieg szyje odznaczały się na ciemno-zielonéj trawie.

(D. c. n.)

KORRESPONDENCJA.

Wiedeń 20 grudnia.

Myliłby się wielce, ktoby sądził że myśl mieszkańców tutejszéj stolicy, zwrócona jest głównie ku sprawie Szlezwigsko-Holsztyńskiéj, jakby to wnosić można czytając tutejsze dzienniki. Rzeczywiście miało mieć miejsce jakieś zebranie ludowe, wyrażające swe gorące affekta dla holsztyńczyków, ale z polecenia nadkomisarza policji spełzło na niczém. W rycersko-germańskiém stowarzyszeniu *Turn - Verein* zwaném, znalazł się jakiś błędny rycerz, unikał wprawdzie, który objawił zamiar udania się w drogę, w celu walczenia z rycerzami Dannebroga, o prawa księcia Fryderyka Augustenburgskiego, do korony Szlezwigu i Holsztynu, ale i błędny rycerz uległ temuż losowi co projektowane zebranie ludowe. Zagrożony aresztem, postanowił pozostać spokojnie w rodzinném mieście. Zapytacie więc ku czemuż zwraca się myśl pół-milionowéj tutejszéj ludności? Odpowiem wam na to: „ku *lekkiéj osobie*.“ Lekka osoba (Eine leichte Person) jest to siedmioaktowa komedja grana w chwili w któréj to piszę po raz 46, przed natłoczoną publicznością w teatrze nad Wiedenem (Theater an der Wien). Już od półtora miesiąca dyrekcja tege teatru daje bez przerwy dzień w dzień: „*lekką osobę*“ a począwszy od możnego pana, aż do ubogiego robotnika, każdy wiedeńczyk uważa sobie za punkt honoru widzieć ją kilkakrotnie. Treść téj komedji da się wypowiedzieć w kilku słowach: „Pewna modniarka którą współtowarzyszki uważają za lekką osobę, jest w gruncie bardzo uczciwą, i wiele dobrego robiącą dziewczyną.“ Niema więc w tém nic tak szczególnie zajmującego, bo też nietyle główne tło komedji, ile raczéj jéj akcessorja stanowią przedmiot ciekawości wiedeńczyków. Jako uboczna osoba komedji pojawia się starszy dependent notarjusza, miłośnik wielki muzyki, który tworzy z grona swych kolegów muzyczne stowarzyszenie, a wychodząc z zasady że wiele rzeczy niebezpiecznie, a nawet niewolno wyrażać słowami, wypowiada je muzyką i mimiką.

Kiedy już wstąpiłem na terrytorjum teatralne, wypada mi wspomnieć o przedstawieniach francuskiego komika Lewassora. Odbyły się one przed pustemi prawie ławkami teatru Karola, albowiem przy pierwszém wystąpieniu, odegrał Lewassor krotochwilę, w któréj skarykaturował i wyśmiał niemców, w osobie niemca z Alzacji przybywającego do Paryża.

W tych dniach liczniejsze grona osób zwiedzają mającą się niezadługo zamknąć wystawę tutejszego towarzystwa sztuk pięknych (Kunst-Verein). Między innemi odznaczają się tu prace utalentowanego rodaka naszego Artura Grottgera zamieszkałego w Wiedniu, zakupione do Węgier przez hrabiego Palffy. Każdego znawcę a nawet i nieznawcę, do których liczy się i wasz korrespondent, zastanawia ogromna różnica w cenach obrazów odpowiedniéj wartości, artystycznéj warszawskiéj i krakowskiéj wystawy sztuk, a tutejszéj. Znakomitsze utwory jak olejny krajobraz Calame z Genewy, *męczennicy chrześcijańscy i niewolnicy pogańscy na stracenie prowadzeni*, Józefa Lies z Monachium, *zwaliska pałacu Kalifów pod Kordubą*, przez Bossuet'a w Bruksselli oszacowane są po 4, 5, do 6,000 talarów srebrem. Obrazki olejne w małym formacie przedstawiające jakąś gruppę jarzyn, psa, konia lub wodospad, częstokroć arcy mizernego pędzla, oszacowane są po 300, 400 i 500 reńskich. Z niewielkiéj liczby wystawionych plastycznych utworów, zwracają uwagę rzeźby Piotra Sbolgi, z Florencji, mianowicie alabastrowa gruppa niewielkich rozmiarów, wyobrażająca porwanie Sabinek.

Po *lekkiéj osobie*, przedmiotem rozmów tutejszych mieszkańców, jest obecnie trąba powietrzna, która w sobotę dnia 12 grudnia przeszła przez Wiedeń i wieczorem zerwała jeden z mostów na Dunaju, oraz dachy na kilku większych pałacach, poczyniwszy przytem mnóstwo drobnych

szkód. Cała humorystyczna i illustrowana prassa tutejsza jak *Figaro*, *Kikiriki*, *Fliegende Blaetter*, najwięcéj na owym uraganie zyskały, bo powód do przedstawiania nowych karykatur, z dziwnych położeń przechodniów po ulicach, wśród owego strasznego wiatru. Dotąd wszystkie te illustrowane wasze koleżanki wiedeńskie, w oddziale karykatur przedstawiały ciągle przed oczy czytelników tutejszą Radę miejską. Bo też pod nieszczęśliwą jakąś gwiazdą została ta Rada wybrana. W zeszłym miesiącu szanowni radcy miejscy odrzucili (większością zaledwie dwóch głosów na stu blisko głosujących) datek uczyniony w kwocie tysiąc kilkuset franków przez Garibaldego, biednym tutejszym mieszkańcom, powodzią dotkniętym podczas zeszłéj wiosny. Jedno z pism prowincjonalnych zrobiło uwagę, że jeśli Rada wchodzi w attrybucje biednych i w ich imieniu ofiarowaną przez Garibaldego summę napowrót odseła, powinna przeto własną kieszenią nadstawić i podobną kwotę na tenże cel zaofiarować. Ale rozumowanie to nie trafiło do przekonania radców. Teraz znowu niektórzy z nich zbyt gorąco przemawiali za Holsztynem i Szlezwigiem uważając zapewne że wsparcie ustne jest rzeczą arcytanią i dostali od cesarza napomnienie, aby więcéj zajmowali się porządkiem miasta, niż sporem z Danią, który nie wchodzi w zakres ich działania.

Dnia 4 Stycznia,

W końcu zeszłego miesiąca zaszły trzy rozgłośne wypadki w tutejszém mieście: konsekracja arcy-biskupa Litwinowicza, śmierć poety powieścio-pisarza Hebbla i piwowara Drehera.

Konsekracja arcy-biskupa metropolity lwowskiego, grecko-katolickiego obrządku, odbyła się we wspaniale na ten cel przybranym kościele szkockim (Szotten-Kirche), księży Benedyktynów i dopełnioną została przez nuncjusza papiezkiego monsigniora Falcinelli.

Na dni kilka przed tą konsekracją zakończył życie znany tutejszy powieściopisarz i poeta Fryderyk Hebbel, gdy nawiasem wspomniawszy, jednocześnie prawie zgasł w Londynie słynny w całéj Europie pisarz i humorystyk angielski Thackaray. Śmierć jednak ulubionego pisarza nie poruszyła nawet dziennikarstwa wiedeńskiego (nie mówię już o mieszkańcach) tak silnie, jak śmierć najpierwszego tutejszego piwowara Drehera, właściciela browaru w Szwechat pod Wiedniem. Browar ten po Barklayowskim w Londynie pono pierwsze miejsce trzyma, a komuż nie wiadomo że najpierwszemi wielbicielami piwa, są mieszkańcy piaszczystych równin Germanji. Nazajutrz też po zgonie szanownego piwowara widziałeś na ulicy mnóstwo twarzy zasępionych i trwogą zdjętych, zapewne skutkiem rozmyślania, czy nowy administrator browaru nie będzie wyrabiał gorszego lub droższego piwa. Kto nie był zmuszony czas jakiś przemieszkiwać wśród rzeszy niemieckiéj, ten niepojmie jaki piwo ważny stanowi element narodowego żywota tego ludu. Wracając do zmarłego, którego nagła śmierć po powrocie z opery, stanowiła główny przed dni kilka wątek rozmów wiedeńczyków i jedyny prawie materjał do zapełnienia feljetonów gazet tutejszych, dodać winniśmy że był członkiem Rady Państwa, właścicielem 8,000,000 złotych reńskich czyli 32 milionów złot. pols., mężem ładnéj i młodéj żony i ojcem małego syna, któremu w testamencie zalecił także być piwowarem i na naukę udać się do browaru londyńskiego Barclaya. Ów testament Drehera to tajemnica, o ile mi się zdaje, utrzymywania i powiększania wielkich majątków, których mnogość przyczynia się do podniesienia ogólnego narodowego bogactwa. Gdzie indziéj gdyby ojciec dorobił się pracą uczciwą większego mienia, syn spadkobierca uważałby sobie za święty obowiązek porzucić pracę którą się on trudnił, uważając ją za niepotrzebną dla miljonowego dziedzica i w lat kilka, najdaléj kilkanaście ztrwoniłby ciężkim nieraz znojem nabyty dostatek. Jak zaś ważnym czynnikiem jest bogactwo ogólne w losach każdego narodu, to nie potrzebujemy, zdaje się, dowodzić. Wigilja Nowego Roku, *Sylvester-Abend*, jest jedną z najwydatniejszych uroczystości tutejszych. Wieczorem sale w których grywają różne to-

warzystwa muzyczne, zapełniły się tysiącami gości. Na przedmieściu Leopoldstadt w tak nazwanéj *sali Szperl'a*, grała wielka orkiestra ulubionego Strauss'a, a przytem afisz głosił, że zaraz po 12téj zjawi się *wielka niespodzianka*. Tłumy ciekawych zaległy salę, od czasu bowiem pierwszych naszych rodziców *tajemnica*, *rzeczy niewiadome*, zawsze okryte są urokiem. Otóż po pięknym *pot-pourri* na pożegnanie starego roku, ułożonym przez Strauss'a, ozwał się ulubiony hymn *Schleswig-Holstein Meer-umschlungen* (Szlezwig-Holsztyn morzem otoczony), posypały się tysiączne oklaski, wzniosły na wiwat kufle z piwem i kieliszki, słowem rozpoczęła się na dobre pijatyka, wśród któréj pobratały się serdecznie obecne tam różne narodowości.

Z literatury bieżącéj prócz *życia Chrystusa* Renana, które w coraz tańszych wychodzi wydaniach, ciągle rozkupywanych, najwięcéj znajduje czytelników świeżo wydana piękna 4ro-tomowa powieść Brachvongla, pod tytułem: *Schubart i jego współcześni* (Schubart und seine Zeitgenossen). Mistrzowskiém piórem kreśli autor dzieje księcia Wirtembergskiego Karola-Eugenjusza, wieloletnie więzienie do którego ów książe wtrącił Szubarta za pamflety przeciw sobie pisane i wreszcie pojawienie się w Wirtembergu Schillera, a w Wejmarze Goetego, których Szubart wedle autora był duchowym ojcem

**

WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

Epoka, która jest źródłem niniejszego opowiadania, panowanie króla Ludwika węgierskiego, ma ogromne znaczenie w dziejach naszego narodu, jakoż jest krwawym prologiem do wielkiego dramatu, którego tak świetne było rozwiązanie jak groźną i morderczą była burza. By uwydatnić choć w krótkich zarysach oblicze owéj epoki, potrzeba sięgnąć głębiéj w dzieje Piastowskiéj dzielnicy, inaczéj nie zrozumiemy długoletnich cierpień i walki, która rozdzierała łono ziemi naszéj. Ze skonem trzeciego a ostatniego z wielkich Bolesławów, zniknęła aureola sławy od wschodu do zachodu przyświecająca Lechji i dziwno, że król bohatér, co za bujnych dni swego żywota, szedł zawsze śladem wielkich poprzedników, który z piorunnym mieczem stał na straży lechickich plemion, a poskramiając z jednéj strony lub garnąc ku sobie pobratymcze ludy, z drugiéj, odpierał potężnie i gromił rozhukaną i wdzierającą się wszędzie powódź germańskiego szczepu, dziwno mówię, że król ów tak zapomniał się srodze w chwili skonu, że bohatér, który był mścicielem krzywdy i obrońcą jedności téj ziemi, ostatnią wolą swoją, rozerwał ją na części i wielką, potężną Piastów dzielnicę, wydał na łup chciwych sąsiadów. W nieszczęśliwym okresie tego rozbioru, stosunek panujących do narodu zupełnie się zmienił; dotąd król był stróżem praw i granic swego kraju, a celem jego osobistych dążeń, szczęście i sława téj ziemi, kiedy przeciwnie, od dnia złowróżbnego, w którym Polska na drobne rozpadła się dzielnice, jakby nic już nie było pomiędzy niemi wspólnego. Osobiste widoki stają się celem każdego z książąt a niebaczność na potrzeby i przyszłość całego kraju, gotuje przepaść zguby, ku któréj popycha duma władców i nieudolne lub przewrotne ich czyny. Któż wyliczy wszystkie klęski jakie los mściwy ściągnął na kraj ten za jedną chwilę błędu wielkiego króla? Książęta kupczą krajami jak swoją własnością, zaprzedają według potrzeby swoim lub obcym grody i zamki, oderwanie a zniemczenie w następstwie Szląska i potworny czyn szalonego Konrada, oto są gorzkie owoce epoki, która tak ciężkie narodowi zadała rany, że ani hart i mądrość Przemysława IIgo, ani genjusz i bohaterska dzielność Władysława Łokietka nie zagoiły ich zupełnie. Od chwili nieszczęśliwego podziału, upłynęło zaledwie

ćwierć wieku, a władcy zdrobniałych dzielnic nieufném i zawistném patrzą na się okiem wzajemnie. Dla dopięcia osobistych widoków szukają wsparcia, bądź u własnych poddanych, bądź zewnątrz, w łonie niechętnych téj ziemi sąsiadów, którzy tak gorliwie chwytają każdą sposobność do rozdmuchania pożaru domowéj wojny. Smutny przedstawia widok kraj nasz w pierwszéj połowie XIIIgo wieku, kiedy Konrad ks. mazowiecki, ten rycerz czasem waleczny, zawsze porywczy a niedołężny, niby pobożny i dbały o zbawienie swéj duszy, ale gwałciciel dóbr duchownych i kościołów, jakby dla uwidomienia słabości ówczesnéj epoki przyzywa obcych zakonników rycerzy w serce własnego narodu. Ale bo też umysłowego księcia był uosobieniem złowrogiéj doli téj ziemi, a życie jego pasmem najsprzeczniejszych i ciągle walczących żywiołów. Ten sam bowiem Konrad, który składając ręce pobożnie, sporządził przed chwilą zapis na korzyść niemieckiego zakonu, niby to w myśli zbawienia swéj duszy i pogromu pogan, niezadługo widzimy jak łączy się znowu z Litwą pogańską i napada chrześcijańskie dzielnice. W innym czasie, zabija scholastyka płockiego lub rabuje dobra kościelne, a zagrożony klątwą korzy się przed powagą duchownéj władzy i oddaje Łowicz arcybiskupom gnieźnieńskim. Nie podobna w szczupłym zakresie tego obrazu powtórzyć wszystkich scen krwawego dramatu ówczesnych dziejów, ograniczymy się więc tylko na zestawieniu kilku smutnych epizodów téj średniowiecznéj legendy. Otóż Bolesław Łysy ks. szlązki, pałając zemstą przeciwko braciom przyzywa na pomoc niemców, łączy się z niemi i w nagrodę za to oddaje im zamki i grody, a powodowany następnie ich namową, napada z niemi w nocy dom biskupa wrocławskiego, rabuje jego skarby, a samego pasterza wtrąca do więzienia. Od czasu Henryka Głogowskiego, szlązcy książęta stają się wrogami Polski, i nareszcie Henryk wrocławski, przelewając prawa swoje do Szlązka, na rzecz Jana króla czeskiego, wydziedzicza rodzonych braci, a co gorzéj, odrywa na zawsze starą Lechji dzielnicę, niby gałąź od rodzinnego drzewa. Straty kraju, czy to wynikały z niezgód, wojen domowych, czy też ze słabości pojedynczych książąt, szły zawsze na pożytek nienasyconym nigdy sąsiadom niemcom. Jeden z dzielniejszych władców Przemysław I, oddał kasztelanję sanocką w posagu za córką swoją Konradowi synowi Jana margrabiego brandeburgskiego, a Warcisław książe Pomorski, pałając zemstą przeciwko bratu zawiera traktat z niemcami, na mocy którego miasto Gdańsk im wydaje. Tak więc żywioł germański z jednéj strony, z drugiéj napady pogan, niszczyły ogniem i mieczem ziemię, która pozbawiona jedności i siły oprzeć się nie była w stanie dodajmy do tego ciągłe walki i najazdy panów, którzy niszczyli się wzajemnie, rabunki włości, kościołów i rozboje po drogach, przy rozprzężeniu władzy wykonawczéj i zupełnéj niemocy prawa, a będziemy mieć obraz jakkolwiek niewykończony, ale wierny smutnego położenia lechickich krajów w okresie owym, od śmierci Bolesława IIgo do wstąpienia na tron Przemysława. Zjawiły się wprawdzie i w téj epoce znakomite postacie, jak dwóch Henryków szlązkich, Brodatego i Pobożnego, jak Przemysława ks. poznańskiego i brata jego Bolesława, ale żaden z nich nie wyrósł tak wysoko i nie miał jeszcze siły po temu, ażeby mógł spoić w jedną całość rozerwane członki ojczystego ciała i zawładnąć sterem narodu. Otóż los przyjazny przekazał dokonanie tego dzieła Przemysławowi II. Młodziuchny książe poznański, urodzony, po śmierci ojca, pozostawał pod opieką szlachetnego stryja księcia Bolesława Pobożnego więc pod jego kierunkiem w 16 roku życia, odbył pierwszą wojenną wyprawę do kasztelanji sanockiéj i dzielnie rozpoczął swój zawód bo zdobył na niemcach obronne zamki Strzelce i Drezdenko. Wspaniała postać tego młodego księcia, lubo przysłonięta mgłą wieków, coraz wyraźniéj rysuje się na widnokręgu naszych dziejów. Posłuchajmy wiarogodnych słów starych kronikarzy naszych; jeden z nich mówi przy opisie pogrzebu Kazimierza Wgo, że żal i płacz narodu po śmierci tego króla tak był ogólny i wielki, jak jęk po skonie Przemysława, kiedy pamięć cnót wielkiego męża w połączeniu z obawą o przyszły los kraju,

wywoływała jeden okrzyk rozpaczy z rozrzewnionéj piersi osieroconego ludu. Inny kronikarz powiada, że on pierwszy wskrzesił i podniósł z upadku ojczyznę, natchnął ją duchem wolności rozerwawszy pęta służebnictwa i wyprowadził światło z ciemności.—Los sprzyjał zamiarom Przemysława, cała Wielkopolska ziemia, Pomorze a nareszcie księstwo krakowskie, uznało go za swego króla. Szczęśliwszy w pierwiastkach panowania od spadkobiercy wielkich swych planów, aczkolwiek śmierć przedwczesna przerwała pasmo rozpoczętego dzieła, mądry monarcha, dzielny rycerz, sprawiedliwy sędzia, hojny dobroczyńca kościołów i nędzarzy, olśniewał blaskiem chwały współczesnych, więc obudził zawiść postronnych książąt i znalazł wrogów nawet we własnych poddanych. Sąsiedzi z zazdrością patrzący na wzrost i potęgę rozkwitającéj pod jego berłem Polski napadają śpiącego i zabijają nikczemnie. Odgłos téj zbrodni, jak dzwon pogrzebowy z Wawelu żałośnie ozwał się w sercu narodu, a winni wielkiéj zdrady kraju srogo zapłacili za winę, bo zapadł na nich wyrok sądu, na mocy którego potomkowie Nałęczów i Zarembów podejrzanych o zbrodnię, wyłączeni zostali z rycerskiego koła. Żaden z tego rodu nie miał prawa nosić karmazynowéj sukni, aż dopiero za Kazimierza Wgo, chrzest krwawy na polu bitwy podniósł ich i oczyścił z infamji. Tak więc po śmierci Przemysława losy Polski ważyć się znowu zaczęły na niepewnéj szali, a nie było w pierwszéj chwili męża któryby zdołał od razu uchwycić ster w ręce i mógł kierować ojczystą łodzią, na burzliwém jeszcze i groźném morzu. Dzieło Przemysława, wielkie dzieło zjednoczenia i oswobodzenia Polski, podjął Władysław Łokietek, ten król bohatér, prawdziwy typ średniowiecznego rycerza. Płochy i gwałtowny za młodu, utracił on zrazu berło monarsze w namiętności wirze, ale zahartowany w ogniu doświadczenia, wyszedł odrodzony jak feniks z popiołów i cierniowy swój wieniec najświetniejszym ozdobił liściem. I po raz drugi wstąpił na Piastów stolicę i ujrzał ogrom trudu przed sobą i podjął go, bo miał ramię olbrzyma. Pomorze zdradą zaprzedane, Wielkopolska oddzielona jeszcze z Henrykiem Głogowskim na czele, Litwa grożąca napadem, zawiść i zdrady niemców, gwałty i swawola rozhukanéj szlachty, oto były groźnie zewsząd sterczące skały, pomiędzy któremi śmiały żeglarz musiał przebijać się z trudem zanim podążył do portu. Pierwsze usiłowania monarchy skierowane były ku odzyskaniu Pomorza, ale dla prędszego osiągnięcia celu, w trudnych okolicznościach w jakich kraj się znajdował, nie wahał się nasz bohatér z przyjęciem ofiarowanéj mu pomocy krzyżowego zakonu, który wkrótce z mniemanego przyjaciela, najgroźniejszym okazał się wrogiem; walki więc z krzyżactwem o Pomorze, nareszcie bój śmiertelny o całość kraju z obcym i z domowym wrogiem, słowem, sceny mordów i pożogi, choć świetném nieraz uwieńczone zwycięztwem, wypełniają ten okres wielkiéj narodowéj epopei, na któréj czele stanął Władysław Łokietek. Nie dziw więc, że król bohatér nie przeprowadził ostatecznie swoich zamiarów, a chociaż wiele uczynił, dużo jednak do wykończenia przekazał następcom.

Najzaciętszym jednak wrogiem Polski był Jan Luxemburgski król czeski, obfity w najprzewrotniejsze pomysły wraz z Szlązkiemi Piastami. Do rozwinięcia Luxemburczyka planów, obszerne nastręczało się pole; z jednéj strony wzrosły w potęgę niezwyczajną zakon, z drugiéj znikczemnieli szlązcy książęta chytrą ku niemu wyciągają rękę, a spoglądając z zawiścią na wzrastającą potęgę Władysława, poddają się temuż królowi czeskiemu. Jeden tylko Bernard książe na Swidnicy protestuje przeciwko zdradzie i pozostaje wiernym koronie polskiéj. Otoczony ze wszystkich stron wrogami król, zdradzony od obcych i postronnych, w późnéj już starości na olbrzymią zdobywa się siłę i tryumfuje nad zakonem krzyżackim a w chwili skonu przekazuje synowi pod błogosławieństwem odzyskanie Pomorza. Wiemy że Kazimierz na polu wojny zawiódł oczekiwanie ojca; utrata Szlązka, Pomorza, nareszcie chełmskiéj i michałowskiéj ziemi, nie mogła się wynagrodzić przyłączeniem Rusi Czerwonéj do Polski, a gdyby nie inne zalety tego króla, ciasny

widnokrąg polityki, postawił by go w rzędzie najsłabszych monarchów naszych. Największym pomnikiem jego chwały jest statut wiślicki, a zatem urządzenie sądownictwa i lepszéj administracyi kraju, wytępienie rozbojów po drogach i opieka nad nędznym i uciśnionym; syn więc w pewném znaczeniu dopełniał czyli rozwijał dzieło ojca, pracując nad ulepszeniem wewnętrznych stosunków kraju, ale ani jeden ani drugi, nie mogli w tak trudnych okolicznościach usunąć wszystkiego złego, które od lat tylu gromadziło się nad narodem, i prędzéj czy późniéj musiało rozstrzelić się burzą. Połączenie Wielkiéj i Małéj Polski pod panowaniem ostatnich Piastów, nie mogło obejść się bez wywołania silnych wstrząśnień w przyszłości. Wielkopolska niegdyś była sercem narodu, jéj Gniezno było stolicą kraju, miała swoje przywileje i tradycje, których strzegła jak skarbca ukochanych pamiątek. Władysław Łokietek przeniósł stolicę z Gniezna do Krakowa, a syn jego Kazimierz przez porównanie w statucie wiślickim praw wielkopolanów z małopolskiemi prawami, pozbawił tych pierwszych części przywilejów, które oni za nietykalną poczytywali własność. Nietylko formą sądownictwa, ale co więcéj obyczajem i tradycją różnili się znacznie wielkopolanie od małopolanów. U pierwszych górowało nad wszystkiem pojęcie równości szlacheckiéj, a osoba panującego otoczona była aureolą, która pochodziła z wielkiego poszanowania władzy, kiedy zaś w krakowskiéj i sandomierskiéj ziemi, w czasie burzliwych wojen i kłótni domowych, pod bokiem słabych lub nieszczęśliwych książąt, wyrósł stan nowy możnych czyli panów, którzy przeważnie wpływali na losy kraju, odsądzali częstokroć od tronu lub przywoływali nowych władców, ci zaś wywdzięczając się za to, darzyli rozlicznemi przywilejami swych ulubieńców z obrazą godności najwyższéj, powagi prawa i z ujmą szlacheckiéj równości.

Zobaczmy teraz, jaki przedstawiała obraz ojczyzna Przemysława w epoce niniejszego opowiadania. Na mocy układu z r. 1355, wstąpił po śmierci Kazimierza Wgo na tron polski siostrzeniec jego Ludwik węgierski, a okres tego panowania smutną i bardzo ciemną w dziejach pozostawił kartę. Król zajęty wyłącznie sprawami Węgier i powodowany jedynie własnym interesem, powierza zarząd Polski matce swéj Elżbiecie, która nie tak z własnéj winy, jak raczéj z powodu różnych nieprzyjaznych okoliczności, najgorzéj wywiązuje się ze swego zadania. Podczas obrzędu koronacji w Krakowie, którą to uroczystość monarchowie dotąd odprawiali w Gnieznie, na przedstawienie wielkopolanów, przyrzeka im Ludwik koronować się w dawnéj stolicy powtórnie, ale za przybyciem do Gniezna, pomimo że tron był dla niego przygotowany w katedrze, szydzi z danéj obietnicy, a nie wchodząc w potrzeby kraju, nie chce słuchać ani rad ani zażaleń i czém prędzéj uchodzi do Węgier z licznym pocztem, który po drodze rabuje sioła i zamki. Pierwszym a obfitym w smutne następstwa czynem Ludwika, było nieusprawiedliwione niczem oddalenie od steru rządu wszystkich panów, którzy za życia jego poprzednika najpierwsze w kraju piastowali godności, a otoczenie się natomiast nowemi ludźmi, którzy w nadziei pozyskania względów monarchy, więcéj słuchali podszeptów dumy i własnego interesu niż głosu sumienia i obowiązku. Stan opłakany kraju w téj epoce możnaby streścić w tych kilku wyrazach, archidyakona Janka, autora współczesnéj kroniki: *hujus tamen regis tempore, nulla stabilitas, nulla justitia in regno poloniae habebatur*, (za panowania tego króla nie było w Polsce ani żadnego ładu, ani żadnéj sprawiedliwości).

Statut wiślicki, ów niespożyty pomnik długoletnich trudów i silnéj woli dobrego króla, pozostał czczą tylko literą zaraz po jego skonie, bo biedniejsi i słabsi znaleźli się na łasce możniejszych i wyłączeni byli zupełnie z pod opieki prawa, kiedy appellacja do królewskiego sądu, zwłaszcza dla ludzi biednych, była wcale nie możebną. Zdarzało się często, że strona pokrzywdzona podawała prośbę do króla, ale Ludwik odsełał wszystkie zażalenia do matki Elżbiety, która nietylko żadnéj nie wymierzała sprawiedliwości, lecz naśladując w tém syna, odsełała

napowrót skargi do niego, a tym sposobem sprawa odwlekana bez końca, nie mogła się doczekać z nizkąd wymiaru sprawiedliwości. W takim stosunku poddanych do panującego, opłakane musiało być położenie całego kraju, więc prawo silniejszego, a raczéj bezprawie, które cechowało epokę upadku Polski przed Władysławem Łokietkiem, napiętnowało również smutne lata panowania Ludwika węgierskiego. Oprócz wymienionych przyczyn znalazły się jeszcze i inne i silne wywołały wstrząśnienia. Małopolscy panowie zaszczyceni względami nowego króla, popierali chętnie jego widoki dynastyczne, w nadziei osiągnienia bogatych starostw i przywilejów i o tyle tylko poczuwali się do obowiązku zapobiegania złemu, o ile wróg obcy wtargnąwszy do kraju niszczył ich ziemie. Większa zaś część wielkopolskiéj szlachty, wierna dawnéj tradycji i obyczajowi, oprócz anarchji która ją trapiła, miała jeszcze do zwalczenia wbrew przeciwne swym zasadom widoki i rozporządzenia nowego króla i nacisk małopolskich możnowładców, którzy z ramienia królewskiego przewodzili tak w pokoju jako téż na wojnie.

I.

W dawnym powiecie Wałeckim, na granicach Marchji Brandeburgskiéj, wznosił się zamek Drdzen czyli Drezdenko, wśród dzikiéj, leśnéj okolicy. Jak inne pograniczne budowy w czasie wojen książąt Przemysława I. i brata jego Bolesława Pobożnego z pomorzanami i brandeburczykami, przechodził on z rąk do rąk, aż nareszcie szesnasto-letni Przemysław, przyszły król polski, zdobył go na niemcach, a zaręczony z Ludgardą nadobną córą szczecińskiego księcia, przywiózł ją tutaj i podejmował świetnie. Huczno i gwarno musiało być podczas téj uroczystości gdy stryj nowożeńca Bolesław książe gnieźnieński i kaliski z żoną Heleną, z Mikołajem biskupem poznańskim i z licznym pocztem znakomitych panów, przybył na powitanie Ludgardy, cały ten zacny orszak godowy odprowadzał do Poznania młodą parę.

Sto lat minęło od owego czasu, a dziedzicem zamku był hrabia Ulrych von Ost, hołdownik polski i pan licznych włości na pograniczu Marchji brandeburgskiéj. Ulrych nieomieszkał korzystać z każdéj wydarzonéj sposobności najazdów i grabieży, w pogranicznych włościach i zamkach wielkopolskiéj ziemi. Szczególniéj obszerne pole nastręczało mu się do rozwinięcia jego przemysłu, w epoce panowania Ludwika węgierskiego. Stan opłakany kraju, trawionego bezrządem i swawolą, a co najgorzéj rozdzieranego nienawiścią wrogich stronnictw, ściągał często w samo serce wielkopolskiéj ziemi, całe zastępy niemieckich gości, którym niezmierna chciwość nie szanująca płci, wieku, ani ołtarzy, wyjednała przezwisko smoków.

Hrabia Ulrych von Ost, człowiek przewrotny i chciwy, korzystał też z położenia Wielkopolski i kilka już czynił wycieczek z braćmi swojemi, z których zawsze z bogatym powracał łupem; ale wyprawy jego ograniczały się dotąd na prostéj grabieży, w tych zwłaszcza starostwach i włościach, gdzie największy panował nieład i dokąd poróżnione strony przyzywały go w imieniu sąsiedzkiéj przyjaźni, ażeby przybył i wystąpił w roli pojednawcy. Wtenczas to chytry Ulrych przybierając maskę najszczerszéj chęci wyświadczenia przysługi obydwom stronom, tak umiał zręcznie użyć swego polubownego wpływu, że miasto przywieść do pojednania do tego stopnia draźnił namiętności poważnionych że już spór ich jedynie tylko walką i przemocą mógł być roztrzygnięty. Rozumie się, że w podobnym razie, przystawał do strony silniejszéj, a działając z nią za jedno z bogatym powracał łupem do ojczystéj zagrody. Zdarzało się też często, że dowiedziawszy się o bezprawiach w jakiéj sąsiedzkiéj włości lub miasteczku, przybywał sam, niby w zamiarze wymierzenia sprawiedliwości i uspokojenia rozruchów, lecz biada téj okolicy, którą miał osłonić skrzydłem swéj opieki, bo wtedy los smutny czekał włość każdą, przez którą przechodził jego hufiec zbrojny, a jeżeli nie gwałty i rozboje, to co najmniéj utrata dobytku i mienia była udziałem nieszczęśliwych mieszkańców. Takim to przemysłem zajmował się Ulrych hrabia na Drezdenku, ale w epoce niniejszego opowiadania, od

niejakiego już czasu nieopuszczał zamku, tylko w pewnych chwilach i to bardzo rzadko, wydalał się na łowy. Na wałach i w obrębie zamczyska cicho było jak w opuszczonym klasztorze, okoliczni ludzie prawili, że ten spokój nastał od chwili, w któréj jakiś rycerz nieznany, bez pocztu, z jednym tylko pachołkiem przybył do zamku i zamieszkał w jego komnatach. Gród Ulrycha niegdyś huczny ucztami, które wyprawiał hrabia w gronie swoich wspólników, teraz spoważniał i osamotniał zupełnie. Od czasu do czasu nawiedzali tajemniczego rycerza gońce z wielkopolskiéj ziemi, nikt jednak nie mógł się od nich dowiedzieć niczego, coby mogło rzucić światło na stanowisko i pochodzenie gościa. Posłańcy owi zazwyczaj krótko bawili. Właśnie za ciemną kartą dziejów wschodziła nowa era, a dawno przygotowane umysły zakipiały nareszcie burzą i wystąpiły czynnie w walce starego obyczaju z nowym. Wkrótce, po śmierci Kazimierza Wgo, niektórzy z Wielkopolan, przyzywają na tron Władysława Białego, stryjecznego synowca zmarłego króla, który znajdował się podówczas w klasztorze Dižońskim, a niedaléj jak w r. 1373 następuje silne z tego powodu zaburzenie w całéj wielkopolskiéj ziemi. Pomimo że pierwsza wyprawa Władysława skończyła się niepomyślnie, umysły jego stronników niełatwo i nie prędko uspokoić się dały. Powód do tego spisku podał sam król Ludwik przez osadzenie na urzędzie wielkopolskiego generała starosty, Ottona z Pilicy małopolanina, na miejscu Przecława z Gołuchowa wojewody kaliskiego. Jak wiadomo urząd generała starosty wielkiéj naówczas był wagi, a prawa i przywileje dawne nie dozwalały sprawować tego urzędu nikomu jak tylko wielkopolaninowi. Nie dziw, że szlachta téj ziemi, nienawistném oddawna zapatrująca się okiem na wpływ małopolskiego możnowładztwa, z ogólném powitała oburzeniem nowego przybysza, który napotykając niechętnych wszędzie na około siebie, nie miał dość siły do poskromienia szerzących się pod jego okiem bezprawiów, a nakoniec sprzykrzył sobie ten urząd i dobrowolnie go złożył. Następca Ottona, Sędziwoj z Szubina, nie o wiele był szczęśliwszy od swego poprzednika; przez cały przeciąg czasu wielkorządztwa Sędziwoja, Wielkopolska rozerwana na wrogie stronnictwa, była teatrem gwałtów, najazdów na dobra duchowne, grabieży klasztorów i kościołów. *)

(D. c. n.)

O UBIORACH.

Zima występująca od pierwszego dnia nowego roku, z wybitną swą charakterystyką mrozu, przyodziała nas wszystkie najgrubszemi materjami, a długie futrzane salopy stanowią główne w tych czasach okrycie. Paryżanki kontentują się podobno tylko paletotami obszytemi futrem, ale co nas to obchodzić może, kiedy ta chęć pokazania kibici z całym jéj wdziękiem, mogłaby nas zdrowie przy teraźniejszych mrozach kosztować. Są po naszych magazynach duże talmy, to jest fałdowane z tyłu burnusy bez rękawów, z ciepłego bardzo materjału, ale tych używają chyba do karety. Widziałyśmy krótką taką talmę z aksamitu, która przez osoby starsze może być używaną do pokoju, jako mantylka. Kaftanów i kaftaniczków zawsze mnogość wielka, te zaś oprócz tego że są wygodne dają się bardzo korzystnie używać ze sukniami których stanik nieco zużyty. Popeliny wełniane są dziś najpowszechniéj używanym na suknie materjałem. Kolor cygara *havanne* w różnych odcieniach zastosowany przez fabryki do wyrobów wełnianych i jedwabnych jest rzeczywiście poważnym i szlachetnym, dobrze przypadającym do twarzy kolorem. Na tém tle wyrabiają w mniejszych lub większych oddaleniach ciemniejsze lub całkiem czarne prążki, niekiedy też rzucik drobniutki. Paryż nadesłał nam mnóstwo materji wełnianych w kraty, gdzie

*) Ciekawe dokumenta bezprawiów owego czasu znajdują się w dziele A. Theinera, Monumenta historica Poloniae, patrz bullę Grzegorza XI dat w Awinionie, w mcu marcu 1373, do djecezji poznańskiéj, T. I, pag. 683—685, i bullę tegoż do djecezji warmińskiéj, dat 2 listopada w Awinionie 1374 r. T. I, pag. 707—708. O zatargach biskupa Władysławskiego, z przeorem klasztoru Marji Panny, patrz tamże. T. I, pag. 688—692 i t p.

szafirowy z zielonym poprzedzielane czasem złoto-żółtemi prążkami dość szczęśliwie się mieszają. Wspominałyśmy już w zeszłym numerze o sukniach czarnych, obszywanych pasami kolorowemi; czasem jest to tylko jeden pas szeroki, czasem znów nieco węższy, mający po boku dwa bardzo wąskie tegoż samego koloru, co już tworzy rodzaj szlaku, ten zaś można jeszcze ozdobniejszym uczynić, wycinając go w szachownicę, w zęby i t. p. Jest to moda którą wymyśliła rozsądna i konieczna oszczędność.

W krojach sukien nic nowego. Znane już czytelniczkom naszym z opisu i ryciny staniki pocztylionskie, które zgrabnie przedłużają figurę; klapka z tyłu zastępowana bywa niekiedy u nich małym bawetem: dwa bawety z przodu również używane. Rękawy zwężone u łokcia, mają na wszyciu w stanik zawsze jakąś ozdobę czy epolet. Garnirowań coraz mniéj się pokazuje lub też skromniejsze. Guzików wszędzie używają pełno: do sukien, do kapeluszy. Oglądałyśmy u pani Włodkowskiéj prześliczny negliżowy czepeczek cały guziczkami naszyty, drugi miał na przezroczystém tle ułożoną szachownicę z kolorowéj wstążki, inne były również lekkie, oryginalne i pełne dobrego smaku, a bynajmniéj nie przywiezione z Paryża, lecz dokonane pomysłem polskiéj robotnicy, śmiało rzec można, utalentowanéj, bo i tego rodzaju roboty pewnego uzdolnienia potrzebują i podczas kiedy jedna kobiéta ciężko i niezgrabnie cudze naśladuje pomysły, druga zręcznemi przebierając palcami, tworzy igłą tak jak artysta pędzlem, jeżeli nie samą piękność, to przybory przyczyniające się niezaprzeczenie do jéj uwydatnienia.

Uważałyśmy także w tym magazynie wiele kapeluszy czarnych aksamitnych lub kapotek jedwabnych tegoż koloru, a ozdobionych aksamitem ciemno-niebieskim *bleu mexique*, które obok prostoty zalecają się dobrym smakiem, Kapelusze te nie tak już nad czołem zadarte, ale owszem nieco rozszerzone jak daszek; byłyby nawet bardzo zgrabne, gdyby nie to że ronda ich bardzo zcięte, co nie przypada korzystnie niektórym, mianowicie dużym twarzom. Lecz można nie zbyt uchybiając modzie, kazać rondo nieco poszerzyć i być ładnie ubraną, bo zdaje się doprawdy, że może nigdy nie umiano wpaść na tak szczęśliwe pomysły do ozdobienia twarzy i okolenia jéj najpowabniejszą ramą. Wypada nam tu jeszcze wspomnieć kapelusz pikowany wyrobiony w tymże magazynie w taki sposób, że atłas czarny powleczony jest krepą tegoż koloru, po wypikowaniu zaś, z jednych kwadracików wycięta jest krepa a na drugich zostawiona, tak, że cała powierzchnia składa się z tafelek matowych i świecących.

U pani Cronier, na Sto-Krzyzkiéj ulicy widziałyśmy ładne dla młodych osób kapelusze kastorowe okrągłe koloru *havanne* z nieco ciemniejszém piórem. Tamże podobały nam się watowane kapelusiki pikowane nakształt kapturków, dobrze przypadające do twarzy, gustowne i ciepłe zarazem. Cena ich najwyżéj do 54 zł. dochodzi. Pikowanie bardzo w Paryżu jest upowszechnione w ubiorze kobiecym, u nas zatém także weszło w użycie; lubo je dokonywa maszyna i to dosyć pośpiesznie, jednakże ten rodzaj ozdoby powiększa cenę przedmiotu ubrania przy którym jest użyty. Trudno powiedzieć żeby kaftaniki całe pikowane były ładniejsze od gładkich, ale za to pikowane pelerynki atłasowe z zębem z tyłu i przodu, obszyte puszkiem łabędzim, są gustowną w tym rodzaju nowością. Jest także jeden rodzaj krawatek który dobrze szyję ubiera. Są to niby aksamitne kołnierzyki, podkładające się pod mniejszy płócienny kołnierzyczek, wyglądając z pod niego całém naszyciem czarnéj koronki i wązkim brzeżkiem aksamitu. Z przodu spina je kokarda z końcami lub broszka ze srebra oksydowanego.

Objaśnienie tablicy rysunków.

N^or^ 1. Róg do kapy na poduszki.
„ 2. Szlarka do wyszycia tasiemeczką i ściegiem przeciąganym.
„ 3. Róg chustki do nosa.
„ 4 — 5. Kołnierzyk i mankiet.
„ 6 do 18. Cyfry.
„ 19 — 20. Kołnierzyk i mankiet.
„ 21. Kołnierzyk podkładany na batyście. Gdzie oznaczone punkciki batyst się wycina.
„ 22. Połowa sukiennego kamasza spiętego na guziki.
„ 23. Druga połowa kamasza.
„ 24. Klapka do kamasza, litery oznaczają miejsce gdzie ma być przyszyta.
„ 25 Podpinka do kamasza przyczepia się jak oznaczone znaczkami.
„ 26. Całość kamasza.
„ 27. Połowa rękawa fałdowanego u góry; całość kraje się z jednéj sztuki.
„ 28. Figura całego rękawa z ubraniem.
„ 29. Suknia ubrana materją odmiennego koloru.
„ 30. Czwarta część Bursy — haftuje się aplikacją aksamitu paciorkami i filozellą.
„ 31. Kapczuch wyszywany tasiemeczką.
„ 32 Koniec krawatki, haft atłaskowy pelą.
„ 33 do 38. Bukieciki na końce krawatki.
„ 39. Szlarka.
„ 40. Cyfra.



1084

Moine Imp. r. St Louis en l'Ile, 90 Paris

KÓŁKO DOMOWE

Styczen 1864

Egzem. Bibl. Jagiellońskiej

KÓŁKO DOMOWE

na Miesiąc Styczeń 1864 r.




środek połowy rękawa